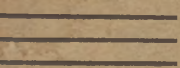


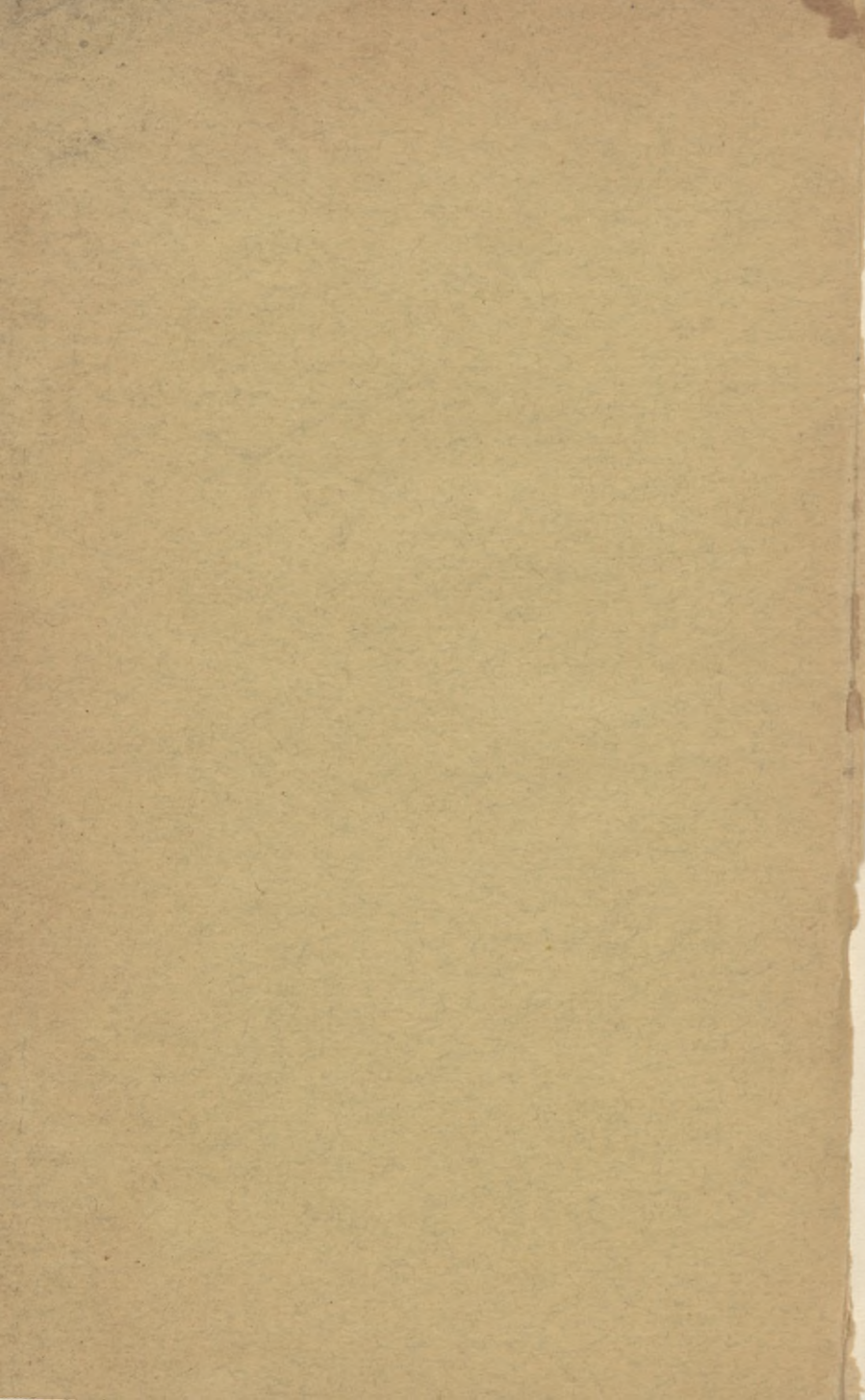
MADEUSZ KONCZYŃSKI

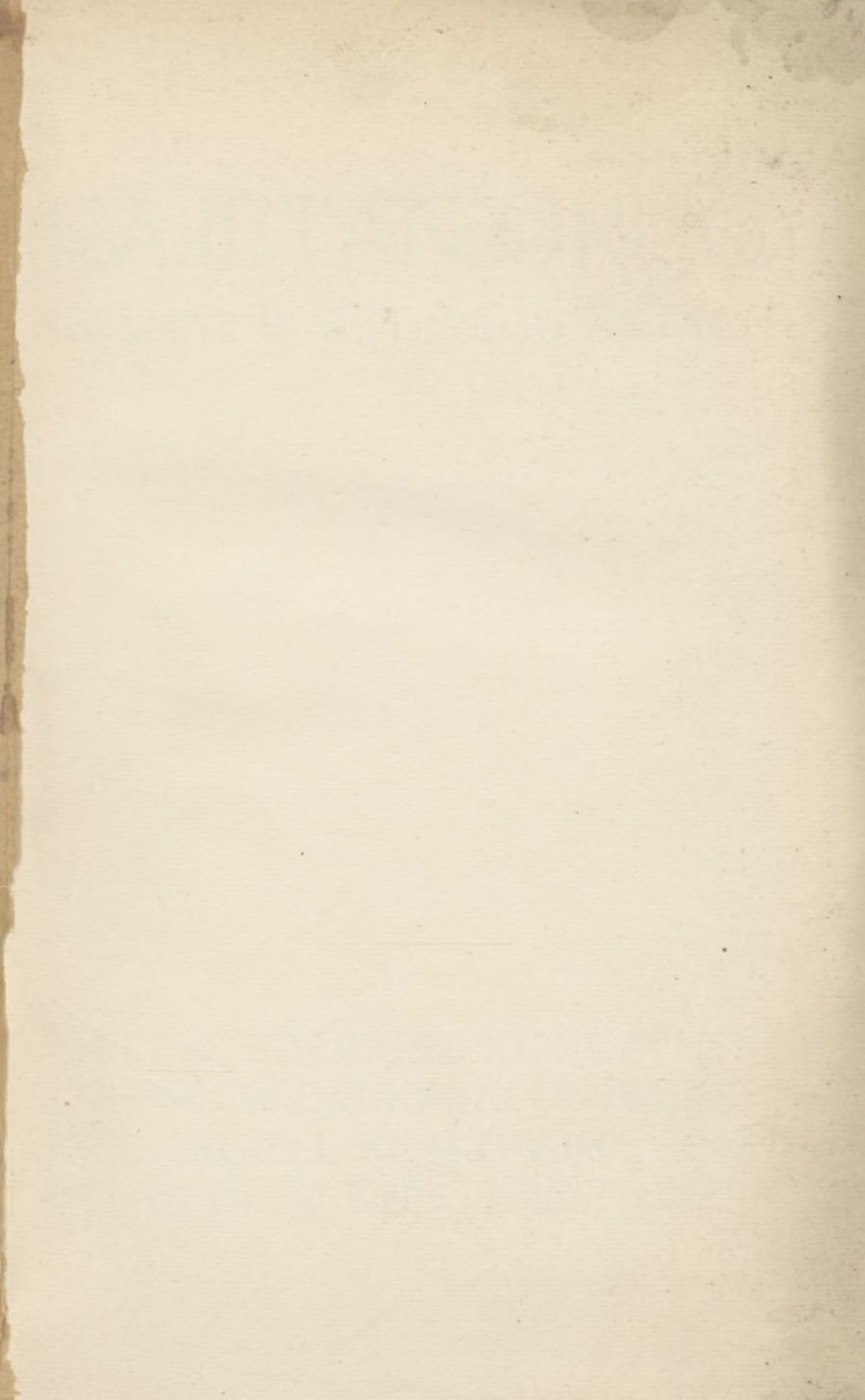
KAJETAN ORUC



DRAMA

WARSZAWA 1902 ROKU. GEBETHNER I SPÓŁKA





KAJETAN ORUG

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

NAPISAŁ TADEUSZ KONCZYŃSKI
ODBITO W DRUKARNI UNIWERSY-
TETU JAGIELL. KRAKÓW 1902 ROKU
SKŁAD GŁ. W KSIĘG. GEBETHNERA



174902

OSOBY:

ZENON SOBICKI.

LAURA, jego żona.

LUDWIKA, ich córka.

ADAM SOBICKI, brat Zenona

KAJETAN ORUG.

MARYA, jego siostra.

HELENA ZALESKA, ich ciotka.

STEFAN KATERLA, sekretarz Oruga.

KSIĄŻĘ ZDZISŁAW RADOMIN.

LEON BORSUK.

WIKTOR KOLANKO.

JAN JEZIERSKI.

MICHAŁ, lokaj w domu Sobickich.

JÓZEF, lokaj w domu Oruga.

FURMAN.

Rzecz dzieje się na wsi w Galicyi.

Salon pp. Sobickich. W głębi dwoje drzwi — pomiędzy nimi pod ścianą statua banalna na podstawie marmurowej. Z lewej strony drzwi szklane prowadzące do ogrodu i dwoje okien. W lewym kącie w głębi fortepian, klawiaturą zwrócony do okna, zamknięty. Obok lampa stojąca z abażurem czerwonym. Po prawej stronie rozpięty na całej ścianie olbrzymi gobelin. Pod nim w pośrodku stoi bogata kanapa przysunięta do ściany, trochę z boku stolik, fotele — wszystko na olbrzymim dywanie. Z lewej strony pod oknem pierwszym od widzów klomb kwiatów, ustawiony półkolem, w pośrodku niego mały stoliczek, taburet, dwa krzesła wyścielone. W prawym kącie bliżej kanapy druga lampa stojąca z abażurem blado-zielonym. Firanki, portyery. Na ścianie tylnej kilka portretów przodków. Lato, godzina popołudniowa. Na prawo i na lewo od widzów.

ZENON (*mężczyzna szpakowaty, w ruchach trochę afektowany, dla dalszych osób sztywny, małe wąsy i bokobrody. Stoi przed oknem*). Przecież przyznasz, że zrobiłem ci braterską przysługę. Sam prosiłem cię o to, żebyś się upamiętał i gospodarzył na wsi. Ale ty wolałeś siedzieć za granicą i bawić się w artystę — od puszczenia pieniędzy. Po prostu straciłeś swój majątek.

ADAM (*siwe wąsy i mała, siwa bródka, ruchy żywe — siedzi na krześle przy kwiatach*). Hahahaha. Ale przecież ty dzierżawisz moją wieś — ty, mój brat.

ZENON. Dobrze, że ja, ale gdybym nie ja (*odchodzi od okna*).

ADAM. Hahahaha! — tańcowała ryba z rakiem, a cebula z pasternakiem. Hahahaha! Nie kijem go, to go pałką.

ZENON (*rozgniewany*). Komiczny jesteś, mon cher.

ADAM. Ja? ja? czy dlatego, że wydawałem za granicą tylko moje marne dochody?

ZENON. Marne? (*wyniośle*) Prawdę powiedział Schopenhauer: »Es gibt« — nie, nie, lepsze to zdanie: »każda poszczególna kwestya ekonomiczna jest identyczną z charakterem wywołującego ją indywidualum«.

ADAM. Hahahaha! rzekłeś! czyli z przeproszeniem Schopenhauera — to ja jestem winien temu, że nie wiedzie ci się w gospodarce? ja? Ha — trudno kochanie. Chciałoby się duszy do raj, ale niepogoda. Tybyś także chciał gromadzić miliony, jak Orug, i ja w to wierzę. Ale skoro ledwie wiążesz koniec z końcem, to i to dobrze. Możesz przynajmniej udawać milionera, to jest my wszyscy możemy udawać milionerów. Hoc, hoc — hoc, hoc (*podchodzi do Zenona, z udaną*

-
-
- tajemniczością*). Ale podobno ta nowa afery, ten, ten twój torf, to żyły złota —
- ZENON (*rozpromieniony*). Tak, tak. Dotychczas niby jeszcze więcej się wkłada, niż zbiera, ale, jak się ten interes rozwinie...
- ADAM (*podstępnie*). A wiesz co? słyzałem w Anglii, że jest sposób na to, aby torf rósł, mówię ci po prostu rósł — jak na drożdżach — staje się podobno nadzwyczaj suchy, wydajny...
- ZENON. Co ty mówisz Adasiu?! jaktu? jaki sposób?!!
- ADAM (*poważnie*). Ano — sieje się na torfowisku — pieniądze (*wykręca się na pięcie*). Hahahaha!
- ZENON (*wściekły, kopnie fotel i odchodzi do okna*).
- ADAM. Hahahaha! — każda kwestya ekonomiczna jest identyczną z charakterem wywołującego ją indywiduum — hahahaha!
- ZENON (*zimno*). Czy mam ci wypłacić zaległą ratę dzierżawną?
- ADAM. Ależ nie, nie Zenonku! To już przy innym złotym interesie! Hahaha! hahaha! (*siada pod gobelinem*).

(*Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Ludka. Włosy pod słomianym kapeluszem rozsypane w nieładzie, sukienka codzienna, zmięta, bluzka biała, muślinowa — ściąga rękawiczki, wchodząc*).

LUDKA (*chwytając oddech*). Co za upał, papko. Już dawno tak się nie zmęczyłam (*całuje go serdecznie, Adamowi kiwa głową obojętnie*).

ZENON (*całując ją w czoło*). Bobyś mogła Ludko już raz zarzucić te męczące przejażdżki.

LUDKA (*śmiejąc się*). Oo, nie mogę ustać na nogach (*kiwa się komicznie, siada*). Trochę nas Kwakier poniosł. Ale nie puściłam. Kwakier to wściekły ogier. Lepszy byłby pod wierzch. Franciszek, mówię papie, tak krzyknął ze strachu, jak jaka panna. Uśmiełam się (*butnie*) — no i nie puściłam lejców (*wyciąga się wygodnie na siedzeniu*). Co to za rozkosz — nie czuję nóg —

ADAM. Trzeba kazać je uciąć.

LUDKA. Stryjowi — język.

ADAM. No, no, patrzcie, jak to przy mnie wykształciła sobie buziaka. (*do niej*) Za to dowiedz się, że ten twój Orug i twój Katerla już wrócili do Połegi.

LUDKA (*żywo*). Papko, czy to prawda?

ZENON. Widocznie już. Przyjechali nas odwiedzić. Jest i Marya z nimi.

LUDKA. Gdzie są?

ADAM. A gdzieżby? Orug jakiś bez miny, wychudł, zwłóczył się w mieście jak kot w marcu — (*zamyka sobie usta ręką*) O! przepraszam.

LUDKA. Do rzeczy! do rzeczy!

ADAM. Kiedy tak, to pytaj się papy.

ZENON (*do Adama*). Zawsze zapominasz o tem, że Ludka nie jest jeszcze mężatką.

LUDKA. To wszystko jedno papo.

ZENON. Moje dziecko, ja wiem lepiej, czy mężatka —

ADAM (*dorzuca nagle*). — jest panną! O! przepraszam! wyrwało się!

LUDKA. Stryju, bo klapsa! (*tupie nogą, śmieje się*) No,

już dosyć papo. Niechże raz się dowiem! Papo! mówić! (*tupie nogą*).

ZENON. Orug jest pewnie w ogrodzie. A Katerla z Maryą w cieplarni.

LUDKA. Pewnie mama męczy ich swoimi fikusami! co?

ZENON. Słuchaj Ludeczko — przypomniała mi się rzecz jedna (*głaszcze ją po włosach*). Uradziliśmy właśnie z mamą, że te twoje lekcye socyologii z Katerlą muszą się — to jest tego — skończyć.

LUDKA (*ostro*). Tak? (*wesoło*) I co jeszcze papeczko?

ZENON. To, moja Ludko, że Katerla jest cham, włóczęga, gbur. Może być sekretarzem Oruga. Ale co Orug, to nie my, a tem bardziej ty. Oruga tolerujemy w naszych kołach, bo zachowuje pewne formy towarzyskie. Zresztą choć syn dorobkiewicza, ma bądź co bądź miliony. Ale Katerla jest cham. Katerla może psuć Oruga, ale nie ciebie. Mama zawsze dostaje migreny, ile razy otrze się o niego.

LUDKA. I co jeszcze papeczko?

ZENON. Katerla może być fornałem, ale nigdy bywać u nas jako gość, a cóż dopiero jako twój nauczyciel.

LUDKA (*cedząc*). To ja powiem papeczce, że Katerla mnie się *podoba* — —

ZENON. Dziś ostatni raz jest u nas.

LUDKA. Papo — (*wstaje, mruży oczy*) Katerla będzie się także *papeczce* podobał. A nie —

ZENON (*przestraszony*). Ależ ja nic —

LUDKA. To ja papie przysięgam, że wyjdę za Katerlę zamiast za Oruga lub jakiegoś tam hrabiego. Papa rozumie?

ZENON. Mon enfant. Ja przecież przeciw Katerli nic

nie mam, ani nic na niego nie mówię. Owszem, cieszę się, że się uczysz. Tylko o to chodzi, że on sprowadza Oruga na manowce.

LUDKA (*siada — z naciskiem*). W każdym razie będzie się papie podobał.

ADAM (*zrywa się i całuje Ludkę*). Masz za to buzi. Hahaha! Hahaha! (*do Zenona drwiąco*) Każda poszczególne kwestya zależna jest od indywiduum, powiedział Schopenhauer.

ZENON (*wścickły*).

LUDKA. Czy to nowy cytat papy? Hahaha —

ADAM. Nie, nie — to tylko papie tak się wyrwało (*śmieją się*).

(Wchodzi z głębi drzwiami prawymi Laura z Maryą, za niemi Katerla. Laura jeszcze piękna kobieta, z lornetką w ręku, bardzo dystygowana. Marya sympatyczna, o wielkiej prostocie i wdzięku. Katerla mężczyzna o czarnym, bujnym zaroście. Faworyty i broda zlewają się w jedną całość tak, że głowa jest jakby w czarnych, grubych, okrągłych ramach).

LAURA (*do Ludki*). Ach jesteś — w taki upał (*całuje ją, potem siada obok Adama*).

LUDKA. Nic mi mameczko (*idzie do Maryi, całuje się z nią*). Jaka jesteś niedobra. Trzeba było samej przyjeżdżać, kiedy oni lampartowali się. (*podaje rękę Katerli*). Panie Katerla. Wczoraj przepadła nam lekcyja.

KATERLA. Trudno panno Ludwiko.

(Zenon rozmawia z Maryą).

LAURA (*do Adama półgłosem*). Jak ten drab śmie jej mówić po imieniu. (*rozmawiają*).

LUDKA. No pan jeszcze jako tako wygląda, ale pan Kajetan — pewnie — —

KATERLA. Zdrow na duchu i na ciele, ręczę pani.

LUDWIKA (*grozi mu palcem*). Wy za często miewacie te — te katzenjammery. (*uderzając go oczami, półgłosem*). Bliższe szczegóły są, prawda? *Wszystko* mi pan opowie — co? wszystko?

KATERLA. Prawdopodobnie nic.

LAURA. Mon Dieu! Ludka — mon enfant (*zrywa się*) zapomniałam ci powiedzieć, że księżę Radomin przyjeżdża. (*wchodzi między nią a Katerlą*). Musisz się przebrać.

LUDKA. Dobrze mameczko. --- (*do Katerli*). Zobaczymy! zobaczymy!

(*idzie w głąb prawemi drzwiami*).

LAURA (*do Katerli wyniosłe*). Excusez-moi s'il vous plaît. (*wychodzi za nią*).

ZENON (*podchodzi razem z Maryą ku Adamowi*). Nic o tem nie wiedziałem, że księżę przyjeżdża.

ADAM. A, on koresponduje tylko z Lorcią.

KATERLA. Widzieliśmy go przed dwoma dniami w Warszawie.

ZENON (*zimno*). Kogo, jeśli wolno wiedzieć? — mojego ekonoma?

KATERLA (*niezmieszany*). Ekonoma także i to — na tym samym niestety chodniku co księcia.

ZENON. Parbleu! (*do Adama*). Muszę wydać rozkazy.
Przepraszam — (*odchodzi w głąb na lewo*).

ADAM (*do Katerli*). No panie Katerla, zły z pana sekretarz. Natrzemy panu uszu. Pan ma wpływ na Kajetana, a pan mu pozwala się puszczać. Któż to widział. Wpadliście w Warszawę jak kamień w wodę.

KATERLA. Żeby to tylko, ale ja sam puszczam się także i psuję.

MARYA (*wesoło*). Co nam z pana! Ale brata to mi naprawdę żal.

ADAM. Pannie Maryi także należy się bura. Kajetan się psuje to i siostra powinna spróbować jak to smakuje. Żeby panna Marya przyjeżdżała do nas częściej, bylibyśmy sobie trochę poromansowali we dwoje no i świat nie byłby się zawalił.

MARYA. Nie miałam z kim jechać. Ciocia nie opuszcza domu, a samej trudno. Droga przez parów niebezpieczna.

ADAM. Parów można objechać. Zresztą kto kocha, ten nie widzi nic — żadnej przepaści. Julia po nitce chodziła do ROMEA — —

KATERLA — którą ROMEO wysmarował mydłem. —

ADAM (*poważnie*). Bo kochał. (*śmieją się*).

MARYA. Panie Stefanie, w ten sposób nie godzi się mówić.

Podstęp w miłości tak idealnej byłby potwornością. Oo — ja wiem — pan by nie tylko to zrobił ale by nawet nitkę przeciął. Źle panie Stefanie. Trzeba mieć trochę serca.

ADAM. Hm, hm. Panno Maryo — z takimi myślami trzeba było wyjść za mąż. A partye były świetne.

MARYA. Trudno. Nie kochałam.

ADAM. Nie kocha się przed ślubem, to kocha się po ślubie. Wszystko jedno! zawsze się skończy na czubieniu. Prawda panie Katerla?

KATERLA. Raczej na rozczarowaniu. Ee, co to mówić. Czar życia to fata morgana bez wyjątku.

MARYA. Dla tych jednak, co mają serce, bardzo drogie.

KATERLA (*po chwili*). Ot widzi pani — w prozie życia są pewne czynności, konieczne zadania, walka o byt w przeróżnych postaciach. Co *to* jest, wiem. Twarde to, kaleczy ręce i ludzi trze na miał. Ale wiem, *co* to jest. Ee — tylko bez złudzeń panno Maryo, bez złudzeń.

MARYA. A przecież te złudzenia daje sama walka o byt.

KATERLA. — i rzuca je na zwierciadło wyobraźni — do góry nogami. Ot wszystko to funta kłaków nie warte. Lepsza ta szkółka koszykarska, którą pani założyła dla dzieci wiejskich.

ADAM (*śmiejąc się*). No więc stanęło na tem, że Julia sentymentalizuje na nitce. Dobryś. I to dwoje młodych ludzi wygaduje takie głupstwa. Wstyd! wstyd! Powiem wam — że jak byłem młody, to pannę brałem w pół czy chciała czy nie chciała — i całowałem, co sił starczyło — to nie były żadne fata morgana. I teraz bym pocałował, ale panna Marya woli widać nitkę. No ale mówiąc do rzeczy, lepiej byłoby przejść się po parku.

(*Wchodzi z ogrodu Orug — wąs blond, jasny, silny, twarz młoda*).

KATERLA. Gdzieżeś tak znikł nam. Pani Sobicka chciała ci koniecznie pokazać fikusy.

ORUG. Nie wiedziałem.

ADAM. To my także nie będziemy nic wiedzieć i pójdziemy z panną Maryą użyć świeżego powietrza. Mogę prosić — ? (*podaje jej ramię*). Adieu. Ale panno Maryo, romans na dobre. Inaczej kwita z przyjaźni. (*wychodzi z nią do ogrodu*).

ORUG (*chodzi zaszepiony po sali*). Wróciła?

KATERLA. Już. (*milczenie*).

ORUG. Mówiła co?

KATERLA. Nic. — (*po chwili*). Po coś ty tu właściwie przyjechał ze siostrą? Żeby się dręczyć? Czy chcesz *ich* o tem przekonać?

ORUG. Co oni wszyscy mnie obchodzą.

KATERLA. To trzeba było pozostać w domu i basta.

ORUG. Wszystko jedno. Ich dom jest dla mnie przechodnią kamienicą. Przecież takie prawo wywalczyłem sobie po tych całych latach szamotania się i wysługiwania!

KATERLA. Pewnie. Dostałeś posadę konkurenta do ręki panny Ludki. Zaszczyt — ale ci powiem to, com ci już tysiąc razy mówił, że to psi zaszczyt, rozumiesz — psi.

ORUG. I na ciebie spadnie kiedyś honor podobny.

KATERLA. Chybabym był niedołągą. Dla jednej dziewczki marnieć! Jabym cię za to wytlukł, taka mię złość bierze. Nie na litość, ale na pogardę zasługujesz.

ORUG. Wiem o tem — ale znajdź mi inną, żeby mi tak całą duszę zabrała jak ta. Chwilami deptałbym ją sam jak gada. Ale ten gad czaruje mnie.

KATERLA. Więc się z nią żeń!

ORUG. Nigdy, teraz nigdy.

KATERLA. No, to oni cię ożenią.

ORUG. Nigdy. Pięć lat mieli czasu. Byłbym za nią poszedł w ogień, nie tylko do kościoła. Teraz mój czas przyszedł. Żeby błagali nigdy.

KATERLA. Zobaczymy. Ale wtenczas będę ci mógł w oczy plunąć.

ORUG. Pluniesz. I to mało będzie. O! — o! już ja nie jestem tym, kim byłem. Kiedy pomyślę, że nie ja, ale oni kręcili mną jak frygą, że mnie wymieniali każdej chwili jak pieniądz na każdą wartość, jaką chcieli mieć — i tylko im cyfrą byłem w obliczeniach rodowych — coś mię bierze za włosy jak bezwstydnego włóczęgę i policzkuje.

KATERLA. Hoho — Sobicczy. Stara chciałaby wydać Ludkę za hrabiego lub księcia. Ponoć ona sama przyszła na świat z dziewięcioma pałkami na skórze. Nie dziw się jej przeto.

ORUG. Jej się nie dziwię ani nikomu. Ale dlaczego to *mnie* spotkało? Jakiem prawem śmieli mną pomiatać jak rękawiczką? Dlaczego wyzyskiwali moją dobrą wolę, moje najlepsze chęci? Dlaczego? dlaczego? (*łamię ręce nad głową*). Taki byłem inny a taki jestem inny! Otumanione myśli, otumaniona wola — i to coś, co wnika w kości i w krew i niesie gorączkę bólu, żalu, wściekłości. (*z gwałtownym wybuchem*). I to *mnie* spotkało, za to, że im wierzyłem! To prawie niepodobna! Albo mnie mąci się we łbie, albo to niepodobna!! (*siada*).

KATERLA. Ee, to jasne! Starzy trzymają cię w od-

wodzie. A nuż nikt lepszy nie znajdzie się, z milio-
nami i z mitrą, to zawsze dobryś ty dla ich córki,
bez mitry, ale z workiem złota. To jasne jak na dłoni.
Stary podbija ci bębenka — sława kraju, gwiazda po-
wiatu — tego owego, a ty jak szaleniec rzuciłeś się
do pracy, bo wierzysz w te brednie, no i wiesz to
także, że dla Ludki trzeba mieć nie worki ale rzekę
złota. Ot co. To też uklepal ci na blaszkę. Ożenek
w perspektywie na przynętę — panna tymczasem
flirtuje — a jak się głupi a lepszy od ciebie nikt nie
złapie, no to wyjdzie za ciebie, nie będzie starą panną.
Będziecie mieli tuzin dzieci i będziecie klepali nowe
blaszki dla *swoich* córek.

ORUG (*skurczył się we fotelu, złamanym głosem*). Mów,
mów, bo ja tylko mogę słuchać i wierzyć ci, że tak
jest. Jestem teraz jak robak. Nie zrobię nikomu nic złego.

KATERLA (*staje przy nim*). Ależ Kajetanie! Podnieś
głowę do góry, inaczej zmarniejesz.

ORUG (*ze wzruszeniem*). Nie pomyliłeś się. Takie to już
moje biedne życie. Obiecywali mi jej rękę z roku na
rok jak dziecku zabawkę. Ile ja się nacierpiałem.
Pierwszy lepszy mógł mi ją porwać, a ja *miałem* do-
niej prawa i nie miałem żadnych.

KATERLA. No, no, daj spokój.

ORUG. Sobicki jak szatan stał za mną — pracuj, pra-
cuj — więcej złota. Ludka będzie twoją — później —
za młoda — doktor nie pozwala — chce się uczyć —
więcej złota. Więc ja rękami i nogami pracowałem.
Łykałem z milionami kurz i tę szarą, bezdennie pustą
prozę życia. Teraz nie mam sił — — (*przyciska głowę
do poręczy, nieruchomo słucha*). — —

KATERLA. Ha, gorzkie lekarstwo. Dziękuj losom, że ci je dały. Przynajmniej staniesz się na nowo człowiekiem. (*staje nad nim i gwałtownie gestykuluje*). A tyś już przestał nim być. Powiem ci, że ten pies, co ugania wolny po polach, dla mnie więcej jest wart od ludzi, co już nie dla chleba, ale dla samej mary zysku wynaturzają się pracą. A ty jesteś takim! Zabijasz siebie, twoje ja, niepodległość ducha! I dla ciebie takiego nie powinienem mieć ani litości, ani szacunku. Ot podła mierzwa w przykopie.

ORUG (*gorzko*). Nie znęcaj się Stefanie.

KATERLA. Słuchaj, co mówię. Ty może myślisz, że nie gadałbym tak, gdybym się nie rozzuchwalił na twoim chlebie. No to wiedz, że pluję na twój chleb, jeżeli tak myślisz. Wielka rzecz, że mi go dajesz. Ja chłopski syn. W szkołach żyłem tylko ziemniakami, a jak ich nieraz brakło a było lato, szło się na pola i rwało się czasem szczaw a czasem nic się nie jadło — ot, co mi twój chleb. Jem go, boś mi się spodobał. Pracowałeś jak wół pod batem, ale miałeś chwile, kiedy anarchia rozsadzała ci duszę i uciekałeś wtenczas od tych przeklętych biur, fabryk i szukałeś ludzi innych, niezależnych. Wtenczas toś był wart najwięcej. Takim ciebie poznałem. Ot i jestem u ciebie, i patrzę na ciebie — i zdaje mi się, że będziesz tym, co wart więcej. Byle siły, byle buntu! rozumiesz? a nie to zczeźnij! i mnie jak pójde nie szukaj, bo ci powiem, mierzwa!

ORUG (*gorzko*). I nie będzie ci żal, że człowiek zginął?

KATERLA. Nie!

ORUG. A nasza przyjaźń? wiesz, że przylgnałem do ciebie i że mi dobrym duchem jesteś. — —

KATERLA. Przed przyjaźnią pierwsza ludzka godność.

ORUG. A jeśli nieszczęście zajdzie drogę tej godności i popatrzy jej w oczy — —?

KATERLA. (*chce mówić, milczy, siada potem*).

ORUG (*cichym głosem*). Dużo nauczyłem się przy tobie. Otworzyłeś mi oczy — cierpię, ale wiem, *czem* jest to cierpienie. Wciągnąłem jak ślimak całe istnienie moje i chorą duszę w skorupę rozumu — i daję pole czasowi. Albo ślimak zamrze na nieuleczalne cierpienie — albo ktoś stanie na jego skorupie i zdepcze — (*z wielkiem skupieniem*) albo — czy ja wiem — jakie godziny go czekają. — Może zabłąkane słońce przyjdzie z gorącymi blaskami południa i będzie świecić, świecić — i ślimak będzie brać w siebie te ciepłe, jasne promienie — i będzie przeinaczać się, wynaturzać — aż zamigoce w słońcu złotymi skrzydłami motyla. (*zamyka oczy — po chwili nagle zrywa się, gwałtownie, z silną ironią*). Hahahahaha — poezya odradza się we mnie! Snom młodzieńczym podłożyłem pod głowę książkę buchaltera — pragnienia górne przykułem do klucza kasy wertheimowskiej — i teraz odradzam się — hahahaha! Stefanie — zanotuj ten dzień. Kajetan Orug pił za wiele i mocował się z wiatrakami młodzieńczych wspomnień! Zanotuj, proszę cię! To dzień ważny — dla mnie — — i dla niej — (*siada — zakrywa oczy*).

KATERLA (*zrywa się*). Kajetanie! (*odrywa mu rękę*).

Ty płaczesz? Daruj mi — za ciężką mam rękę.

ORUG (*po chwili podnosi głowę, smutnie*). Nic — nic —
Przypomniało mi się, że byłem młody.

KATERLA. Masz też co wspominać. (*z udaną wesołością*). Mój żołądek w tym czasie wygrywał z głodu takie marsze żałobne, że mówię ci, mogłem się wynajmować na pogrzeby jako orkiestra — i to z powodzeniem.

ORUG (*z uśmiechem*). Mój biedaku — (*przyciąga do siebie*). Czemu myśmy się wtenczas nie poznali! Jak ja cię kocham za te twoje żmudne lata przeszłe — jak ja cię szanuję. — (*całują się*).

KATERLA. Cicho — cicho, powoju. — (*ze łzami w głosie szeptem*). Ty mój jedyny — drogi. — (*całuje go w głowę*).

ORUG. Lżej mi.

(*Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Zenon Sobicki, Ludka i księżę Zdzisław Radomin, mężczyzna zblazowany, wytworny, hiszpanka, wymawia „ach“ z tysięcznymi modulacjami głosu — lat 50*).

KATERLA (*sposzrzęgłszy ich*). Masz, cała banda. Nie mam tu co robić. (*wychodzi do ogrodu*).

RADOMIN (*do Ludki wesoło*). Zatem mam znowu szczęście widzieć łaskawą panią. Żałuję mocno, że sezon w Ostendzie tak krótko trwał w zeszłym roku!

LUDKA (*bardzo wesoło*). Trudno. Księżę tak zimnym był, że morze dostało febry. Trzeba było uciekać.

RADOMIN (*wesoło*). Ach, jak mię pani gnębi. (*podając rękę Orugowi protekcyjnalnie*). Ach to pan. Miło mi widzieć naszego niezrównanego pracownika. Rok czasu nie byłem w tych stronach, a jednak nie zawiedliśmy się na panu.

ORUG. Kto ksiązę?

RADOMIN. Ach my wszyscy, my wszyscy kochany panie, cały powiat. Prawdziwie dumny jestem, kiedy mówię o panu w salonach zagranicznych. Je vous assure monsieur. Rośniesz nam pan na chlubę kraju. N'est ce pas mademoiselle Louise?

LUDKA (*wyzywajaco*). Ksiązę ma szczęśliwą rękę i jeszcze szczęśliwsze słowa.

RADOMIN (*bardzo wesoło*). Ach czy być może. Zatem nic we wszechświecie nie ginie? nawet to, co powiedzianem było nad brzegiem morza?

LUDKA (*kokietując go szalenie*). Nic, nic. Co odpływ morza uniósł, odda przypływ — —

RADOMIN (*do Oruga*). Ach kochany panie. Szkoda, że pan nie bywasz w Ostendzie. Panna Ludwika dokonuje takich podbojów na piasku wybrzeżnym — —

LUDKA. Wszak ksiązę nie zaliczał siebie do podbitych?

RADOMIN. Za to dziś — gotowem zamienić się w piasek choć morza nie ma w pobliżu.

LUDKA (*złośliwie*). Pan Orug posłuży nam za morską dekoracyę.

RADOMIN (*patrzy na nich uważnie, potem subtelnie mówi*). Lecz bez burz —

(*wchodzi Adam z ogrodu*).

LUDKA (*zanosi się od śmiechu*). Ksiązę! ksiązę! hahahaha!

to tak cudownie powiedziane! hahahahaha — muszę to mamie powtórzyć. Ucieszy się, że księżę przyjechał — *(od drzwi)* To tak cudownie powiedziane — hahahahaha — *(wybiega w głąb prawemi drzwiami)*.
RADOMIN *(patrzac za nią)*. Un merveilleux phénomène *(sposstrzega Adama)*. Ach to pan — *(podaje mu rękę)*.

ADAM. Księżę w naszych stronach — rara avis. Albo kobieta albo interes sprowadza nam gościa.

RADOMIN. Jedno i drugie, a jeszcze lepiej powiem — za drugim idzie pierwsze *(śmieje się wesoło)*. Bo to tak zawsze bywa. Gdzie interes, tam kobieta. Gdzie nie ma interesu, tam nie ma kobiety.

ADAM. Księżę musi być ulubieńcem płci pięknej — ten tego.

RADOMIN. Co to mówić panowie. Kobieta idzie za pieniędzmi, jak szakale za karawaną. Właściwie, nie obrażając naszych matek i sióstr, nie ma kobiet uczciwych. Ach, powiadam panom, nie ma.

ORUG *(zimno)*. Czyli wszyscy mężczyźni są łajdakami?

RADOMIN *(nieprzyjemnie zdziwiony)*. Pan jest ciekawym purytaninem.

ORUG. Mam czyste ręce.

RADOMIN. Panowie, czy nasze interesa tak źle idą? bo ja pana Oruga nie rozumiem.

ZENON. Ale gdzież znowu. Pan Kajetan bawił się za bardzo, no i ma teraz kwaśny humor.

RADOMIN. Ach tak. *(potem)* A więc rzeczywiście panowie — interesa sprowadzają mnie tutaj.

ZENON. Księżę raczy spocząć (*siadają pod gobelinem*).

RADOMIN. Mam właśnie projekt — jakby powiedzieć — rozszerzenia działalności naszej spółki, powiedzmy — działalności wewnętrznej. Lecz prawda — będzie można pomówić o tem na posiedzeniu naszej spółki.

ZENON. Ależ prosimy. Jest nas tu czterech. Nie mamy co troszczyć się o resztę. »Są tylko rzeczy wielkie i małe« powiedział Cousin.

ADAM (*filuternie*). Zenonku.

RADOMIN. Panowie pozwalacie. Sans doute. Zatem nie pomyłę się mówiąc, że pan Orug przeszedł nasze oczekiwania. (*do niego*) Ach tak, tak, kochany panie. Jesteśmy pokonani wynikami pańskiej pracy. (*do wszystkich*) Powierając nasze kapitały panu Orugowi, nie wiedzieliśmy, że jest genialnym. (*do niego*) Przekonałeś pan szerokie koła obywatelkie, że ekonomiczny rozwój zależy od pewnego ryzyka i rzutkości. To pańskie wielkie zwycięstwo!

ORUG (*gorzko*). Byłoby pyrrhusowe, gdyby mniej mi się szczęśliwie powiodło. Kazaliście panowie płacić sobie wysokie procenty. To mię mogło zabić.

RADOMIN (*z uśmiechem*). Tem większa zasługa pańska i dowód genialności. Ach panie Kajetanie. Wśród najcięższych warunków kształtują się najdzielniejsze jednostki. Należy się nam nawet z pańskiej strony pewna wdzięczność za to.

ORUG. Szkoda, że kapitały panów nie kształtowały się także w tych najcięższych warunkach. Byłyby także wyrosły na dzielne jednostki.

RADOMIN. Tem więcej pan miałeś pola i tem więcej zysków. Ale pan masz słuszość. Rozwój pańskich

fabryk przekonał nas, że nadchodzi une nouvelle époque pour notre pays. Sans doute, sans doute messieurs. (*z emfazą*) Zatem ja proponuję, że od nowego roku ponosić będziemy na równi z panem Orugiem zyski i straty, oddając mu nasze kapitały do zupełnej dyspozycji. —

(*Milczenie*).

ZENON. Prawdziwie po dżentelmeńsku.

ADAM. Książę i ja jestem podbity. To już dawno należało się panu Kajetanowi.

RADOMIN. Ach, ach, ach tak. A pan co?

(*Wszyscy patrzą na Oruga*).

ORUG (*z przekąsem*). Czy pożyczone mi kapitały mają ciążyć tylko na przedsiębiorstwach spółki, czy mają być także ubezpieczone nadal na moich prywatnych dobrach?

(*Długa cisza*).

RADOMIN. Ach, ach! To rzecz inna. Nie mamy nic przeciwko temu.

ORUG. Więc panom już za małą wydaje się dywidenda, którą przyznałem wam dobrowolnie przed dwoma laty, panowie chcecie dzielić się ze mną całym czystym zyskiem, nie ponosząc żadnego ryzyka?

ZENON (*zmieszany*). Nie, bynajmniej. Obiektywny pogląd jest zawsze subiektywnym — powiedział jeden z młodszych filozofów — tak i pan.

RADOMIN. Dowód obywatelskiej uczynności bierzesz pan ze strony czysto finansowej.

ORUG. Książę, to gra słów!

RADOMIN. Czyż mało ma pan dowodów, że jesteście mi panu oddani?

ORUG (*gorzko, wstając*). Tak! panowie nie skąpicie mi pochwał, bo mi się powodzi — to rzecz pewna. Ale panowie wystawilibyście na licytację moje prywatne dobra, gdyby mi się noga powinęła w produkcyi fabrycznej, to rzecz także pewna. Pierwsze i drugie jest panów interesem i nic więcej.

ZENON. Ależ panie Kajetanie. Pomyśl, coby moja żona powiedziała, gdyby to usłyszała. Wstydź się pan.

RADOMIN. Nie ufasz pan tym, którzy panu ufają? Ach quel dommage.

ORUG. Darujcie panowie. Ale tych kilka lat pracy nie nauczyło mnie ufać. Ufać można wiernym współnikom. Panowie byliście tylko moimi wierzycielami. Zbieraliście słodką dywidendę, a ja gorzką świadomość, że innymi jesteście, jak sądziłem. Może was jeszcze nie doceniam, lecz to później przyjdzie — przy słodszych dywidendach i przy bardziej gorzkiej świadomości. A teraz przepraszam panów. Posiedzenie spółki naznaczyłem na niedzielę, a tu jestem tylko gościem. Bardzo przepraszam.

(Wychodzi do ogrodu).

ZENON. Parbleu! ten Orug kompromituje nas wobec księcia.

RADOMIN. Parweniusz.

ADAM. Hm. Dobrze opłaca swoje parweniuszostwo.

ZENON. Adamie! zawsze musisz oświadczyć się za nim.

RADOMIN. Ach panie Zenonie. Przykro nawet mówić o tem. Nam pierwszym w powiecie śmiał powiedzieć, że za mało byliśmy obywatelami. Jaki brak tradycyi.

ZENON. Książę. Nikt tak nie jest oburzonym, jak ja, Orug miał lat dwadzieścia kilka, kiedy odziedziczył majątek. Ani myślał iść w ślady ojca. Bawił się w poezję. Tylko dzięki mnie nie poszedł w błędnym kierunku.

RADOMIN. Pańska córka wspominała mi w Ostendzie, że Orug w niej się kocha.

ZENON (*wyniosłe*). Nie wiem nic o tem. A choćby nawet tak było, nie zwracamy na to uwagi ani moja żona, ani ja, ani Ludka. Plus au moins byłby to zawsze mezalians.

ADAM. Tratatata.

ZENON. Adamie, bardzo proszę — jestem ojcem.

ADAM. Ja też mówię tratatata czyli tata.

RADOMIN. Toż Orug tem bardziej powinien być pokornym.

ZENON. Wiele, wiele rzeczy zmieniło się książę.

RADOMIN. Ach tak. Lecz zapomnijmy już o nim. Cóż Febus? to pan, panie Adamie, kupiłeś tego reprodutora? Podobno pyszny ogier.

ADAM (*zapalony*). Jakto? książę nie widział mojego Febusa? Omal, że dwóch królów nie jeździło na nim! Książę nie widział?! Książę musi go widzieć! Mam także dwie klacze po Terrorze!!

ZENON. Zadzwoń.

ADAM. Nie, nie! Sam wydam rozkazy. Książę będzie

łaskaw za chwilę — *(ze śmiechem idzie w głąb)* Nie
wiedzieć mojego Febusa! Dwóch królów — ! *(wychodzi
dzi lewymi drzwiami w głąb)*.

ZENON. Zapaleniec.

RADOMIN. Ród, ród. Doskonale jednak, że mogę po-
mówić z panem en tête à tête. Mój pełnomocnik do-
niósł mi o wszystkim. Dlaczego państwo pozwoliliście
temu Katerli opanować Oruga? Orug jest nieoszaco-
waną kopalnią złota. W przeszłym roku cukrownia
i fabryka cellulozы przyniosły mu netto 40^o/_o. Lecz
on od dłuższego czasu zaniedbuje się. Dywidenda
spadnie do zera. Ten Katerla może zwichnąć całą
przyszłość Oruga i nam tem samym odebrać świetne
dochody. Wyrzucicie go.

ZENON. Nic się już nie da zrobić. Z Orugiem jest per
ty. Teraz więcej trzeba się liczyć z Katerlą niż z nim.

RADOMIN. Ach, ach! quelle situation. Lecz panie Ze-
nonie, tak między nami mówiąc, dlaczego państwo
nie żenicie go ze swoją córką. Byłby nasz.

ZENON *(sztywnie)*. Księżę — czy moja córka ma być
koźłem ofiarnym?

RADOMIN. Ach panie Zenonie. My między sobą mó-
wimy! poufnie, poufnie. Pana znam. Pan jesteś wyższy
nad doktryny tradycyi. Człowiek rodowy musi umieć
je naginać —

ZENON *(zmieszany)*. Tak, tak — ale moja żona — jej
kolligacye — —. *(sztywnie)* Zresztą wszystko zależy
od Ludki. Ona wie, że ani rodem, ani majątkiem

nikomu tak bardzo nie ustępuje. — Książę pozwoli?
(częstuje go cygarami, zapalają).

RADOMIN. Ach tak, ach tak! *(po chwili)*. Więc państwo reflektujecie na partyę — bez zarzutu — — —

ZENON. Ja w to się nie mieszam. Daję nazwisko i posag — klasyczny, tak jest — posag — — klasyczny. To dosyć. Ona niech wybiera.

RADOMIN. Ach tak. A czy pan wie, że dzięki łaskawości pańskiej żony i córki zaliczam dnie spędzone razem w Ostendzie do moich najmilszych wspomnień? Wyjechałem wprawdzie wcześniej, ale —

ZENON. Książę podobno miał się żenić.

RADOMIN. To tak trudno wyrzec się kawalerskiej swobody.

ZENON. Wszystko zależy od intuicyi kobiety. O wierz mi książę, że kobieta z intuicyą i z klasycznym przytem posagiem jest szczęściem.

RADOMIN. Ach tak panie Zenonie. Intuicya i klasyczny posag — określenie podoba mi się. Więc pan mówi, że pańska córka ma posag klasyczny.

ZENON *(z oburzeniem)*. Książę! Nie rozumiem, jak można zbyć córkę milionem. C'est de la barbarie! Cóż znaczy kobieta bez klasycznego posagu. Och, wolałbym nie mieć córki.

RADOMIN. Więc pan powiada, klasyczny. Hm — Hm. Czy kochany panie mój notaryusz mógłby tak mimochodem poklasyfikować ten klasyczny posag? Pan nie miałby nic przeciwko temu?

(Milczenie).

ZENON *(zimno)*. Książę — powiedziałem, że Ludka

wybiera sama. Ja jestem jej kasyerem. Kiedy ona da pozwolenie — —

RADOMIN (*szwobodnie*). Ach tak, ach tak. Nie wiedziałem, że pańskim zdaniem w pierw trzeba poznać — intuicyę — — Hahaha! Ach, ach! — (*nagle*). Wyborne cygaro. — Lecz panie Zenonie, słówko jedno — czy nie możnaby usunąć Oruga ze spółki? To byłby świetny interes.

ZENON (*sztynnie*). Książę niewyczerpany w projektach.

(*Wchodzi z głębi prawemi drzwiami Ludka i Laura*).

LAURA (*w innej sukni*). Witam, witam kięcia. Niedobry.

Tak zapominać o swojej przyjaciółce (*podaje mu rękę*).

RADOMIN (*całuje ją w rękę*). Poddam się każdej karze, którą mi pani wymierzy. Lecz dodam, że w pamiętnikach moich przybyło przez ten czas kilka elegii —

LAURA. Elegii? (*siada, wszyscy siadają*). Książę cudownie mówi — czy także cudownie pisze?

RADOMIN. Nie śmiem sądzić sam siebie — (*po chwili*)
Panie w tym roku nie wyjadą za granicę?

LAURA. Tak — miałyśmy zamiar — ale Ludeczka uparła się — zakochała się w Maryi. Nie wielka książę znajomość. Nie. Tu trudno. Siostra Oruga. Winne temu te nieszczęśliwe interesy.

RADOMIN. Ach tak, niestety, łaskawa pani. (*rozgląda się po sali*). A nie ma jak tradycya — choćby w urządzaniu komnat. Lubię np. ten salon — ma w sobie jakąś dziwną pointę (*spozstrzega kwiaty*). Ach kwiaty!

-
-
- LUDKA. Księżę lubi kwiaty? Te tu, to całe moje królestwo!
- RADOMIN. Muszę iść i podziwiać z bliska — przepraszam (*idzie z Ludką ku kwiatom, półgłosem po drodze do niej*). Pani mnie unika —
- LUDKA. Ja księcia? (*parska śmiechem*) Co za zarozumiałość.
- RADOMIN. Kiedy tak, to lękam się kwiatów pani — pewnie mają własność pokrzyw —
- LUDKA (*przy kwiatach — wyzywająco*). Bez bólu nic nie można zdobyć, ani mnie! (*śmiejąc się, rozmawiają dalej. Ludka kokietuje go szalenie*).
- LAURA (*do Zenona*). Patrz, jaka śliczna para. Księżę jest niezwykłej urody. On napewne kocha się w Ludce. W Ostendzie szalał za nią.
- ZENON. Szuka tylko pieniędzy.
- LAURA. Jak ty nas źle sądzisz. Księżę nigdy nie pomyślał o tem. Nikt z *nas* nie ma tak niskich instynktów. Księżę jeśli ożeni się z Ludką, to tylko dlatego, że ją będzie kochał. Wiesz, że nic a nic nie wtrącam się w sprawy domowe. Nie mam sił na to ani nerwów. Tu wszystko takie nie moje. — Ale to jedno chciałabym przeprowadzić.
- (*Ludka i Radomin rozmawiają we drzwiach ogrodowych, za którymi znikają to znowu pokazują się, prowadząc wesołą rozmowę*).
- ZENON. Ty bawisz się w wielką politykę, marzysz o mistrach. Dziękuj Bogu, że Orug zakochany w Ludce. —
- LAURA. Zenonku!
- ZENON. Zenonku, Zenonku! Zenonek kręci głową jak może. Myślisz, żebym ja nie chciał wydać Ludkę za
-
-

jakiegoś Radomina lub Bohusza. *(ze złością)*. Ale oni wszyscy pytają się najpierw o notaryusza.

LAURA. Aleś ty tego nie robił Zenonku.

ZENON. Po co? żeby się upewnić lepiej, że nic nie miałas?

LAURA. Czy być może — *(zwiesza głowę)*. Co na to powie mój papa, jak Ludka wyjdzie za Oruga?

ZENON *(zły)*. To niech da pieniędzy ten twój papa-hrabia.

LAURA. Zenonku, on da, mówię ci, on da.

ZENON. Jak ja będę biskupem!!

LAURA *(zakrywa oczy)*. Tak się nie godzi mówić.

ZENON. Płacz, płacz. —

LAURA. Mnie tu już wszystko męczy, drażni — jesteś nie dobry. —

(Łkając cicho, wychodzi szybko w głąb prawymi drzwiami).

ZENON. Ot — to umiesz. Tyle wyniosłaś z domu — hrabskiego — *(zły chodzi po sali)*.

LUDKA *(wsuwając głowę z ogrodu)*. A gdzie mameczka?

ZENON. Migrena.

LUDKA *(wchodzi do sali razem z Radominem)*. Biedna mameczka.

RADOMIN *(wesół)*. To pewnie od zapachu tych fikusów.

LUDKA *(śmieje się)*. Fikusy książę nie pachną.

RADOMIN *(zabawnie)*. Ale mają kształt. *(śmieją się oboje)*.

(Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Adam i Katerla).

ADAM *(rozogniony)*. Książę! Febus stanął dęba, kiedy mu powiedziałem, kogo będzie miał zaszczyt widzieć.

Klacze rozpuściły grzywy. — Więc proszę, proszę (*robi gest, aby z nim szli*). Pan Katerla jest profanem, ale niech powie, jaki wdzięk w moich klaczach, jaka potentia we Febusie.

KATERLA (*kłaniając się zimno*). Katerla. —

RADOMIN (*mrużąc oczy*). To pan — ach tak — (*z afektacją podając mu rękę*). Radomin. Więc idziemy oglądać konie. Pani pozwoli?

LUDKA. Proszę — proszę.

(*Radomin, Zenon, Adam odchodzą w głąb lewymi drzwiami*).

LUDKA (*do Katerli*). Nie uwierzy pan, co to za praca mówić z takimi ludźmi jak książę. Jedno morze bałnalności. (*siada leniwie w pobliżu gobelinu*). Niech pan siada — zepsułam sobie całkiem gust przy panu.

KATERLA. Ale wierzy pani jeszcze jak dawniej w moc pochlebstw. To ma ponoć działać na mężczyzn.

LUDKA. Straszny z pana człowiek. Prawdę nawet bierz pan za pochlebstwo, jeśli zamknięta w formie grzecznej. (*z prawdziwym zaciekawieniem*). Skąd pan wziął się taki? Ja wiem, ja mam dużo wad. Jestem sobie przeciętna panna wiejska. Ale od dziecka lubię buntowników. Mnie wszystko jedno jak się zapalę — śmierć czy życie. Byle nie poezya, nie abstrakcja, lecz coś realnego, coś co widzę, rozumiem. Jestem szczerą — nieprawdą?

KATERLA. Tak, nie przeczę. Wszystko w pani jest szczerze — prawda, kłamstwo, fałsz. Bo to, co pani robi, robi pani bez namysłu — za pierwszym popędem.

LUDKA (*ze smutkiem, kokieteryjnie*). I nie ma dla mnie ratunku — mój niedobry nauczycielu?

KATERLA. Nie myślałem o pani.

LUDKA. A pan wie, że ja nasze lekcye socyologii cenię więcej niż całą Ostendę?

KATERLA. Pani ma umysł chwytny.

LUDKA. Te lekcye mają dla mnie prawdziwy urok. Zawsze stoję wobec tych cudów realnych oczarowana, nieśmiała — i tak mi przykro, że tak mało umiem.

KATERLA (*z pomrukiem zadowolenia*). O, to piękna nauka, o to piękna nauka.

LUDKA. Nie wiem, anioł czy zły duch przyniósł pana w te strony, ale mnie dobrze z tem. Cała okolica oburzona na mnie, ale to mię właśnie cieszy najbardziej. Panu Kajetanowi jestem tak wdzięczna za to, że pana uwięził w swoim domu, jak za nic dotychczas. (*rozmarzona, cichym głosem*). A wie pan — dawniej wyobrażałam sobie nieraz — że kiedyś spotkam staruszka bardzo mądrego, że będzie miał srebrne włosy — czarny biret na głowie — i wielkie złote księgi — i że ja będę siadać u jego nóg i wodzić oczami po tych księgach w ślad za jego laską — (*cichym głosem wpatrzona w niego*). Pan nie ma siwych włosów — pan nie ma laski — a jednak chwilami zdaje mi się, że moje marzenie jest słodką rzeczywistością — — — —

KATERLA. Panno Ludko.

LUDKA (*smutnie, poprawiając włosy*). Ile bym ja dała, żeby mi lata wróciły się młode! (*włosy rozsypują się jej po szyi i piersiach*). Boże! (*zbiera je szybko i niby*

nie może dać sobie rady — z zachwycającą kokieteryą, błagającą). Panie Stefanie — niech pan teraz zamieni się w tego ślicznego staruszka — bo moje włosy uparte — *(ze zmęczeniem puszczając włosy na szyję i piersi)*. Nie mogę.

KATERLA. Czy mam wyjść?

LUDKA. Nie, nie — mój niedobry nauczycielu. Włosy słuchają mię jeszcze — wiedzą, że nieokrutna dla tych — co mi dają złudzenia — a one dają mi złudzenia — *(burzy włosy na głowie, zasłania sobie nimi ślicznie twarz i patrzy przez nie)* — tak, że przez tę gęstwę majaczy mi się piękny staruszek — i zdaje mi się, że siadam u jego nóg — —

KATERLA *(wstając)*. Panno Ludwiko —

LUDKA. Nic, nic — *(wytrzymuje go wzrokiem, szybkim ruchem podpina włosy — potem wstaje)*. Jestem sobą tylko — a pan panem Stefanem. O jedno tylko proszę — dla pamięci tej chwili — *(serdecznie, wyciągając do niego rękę)* — niech pan będzie moim przyjacielem.

KATERLA *(zaskoczony niemile)*. Pani — tak łatwo prosi o to — jakby przyjaciel był — śpilką do kapelusza lub wstążką. Dla mnie to słowo jest tak wielkiem zobowiązaniem — że nie mam sił — być przyjacielem pani.

LUDKA *(chmurnie)*. Więc tak? *(powoli zimno)*. Pan raczej woli być moim — *nieprzyjacielem?* — *(patrzy mu w oczy wyzywająco)*.

KATERLA *(wytrzymuje jej wzrok)*. Tak —

(chwila milczenia).

LUDKA (*zmieniając głos, chodząc po sali, wesóło*). Ale socjologii będziemy się uczyli — prawda panie Stefanie.

KATERLA (*chłodno*). Prosił mię o to Kajetan.

LUDKA. A więc zgoda, zgoda (*ściska mu rękę*). Straszny z pana człowiek (*po chwili*). Więc lekcya jutro rano. Dziś przenocujecie państwo u nas — a jutro rano nauka. I od jutra będzie pan znowu dojeżdżał konno na lekcyę (*wchodzi z ogrodu Orug*).

LUDKA. Nareszcie. (*podaje mu rękę*). W oczach zmiana. Oo — to mi się nie podoba. Pan wie, że tego nie lubię.

ORUG. Zdawało mi się, że *to* pani lubi.

LUDKA (*poważnie*). Tak? Ale! panie Katerla. Zdaje mi się, że stryj chciał z panem o czemś ważnem pomówić.

KATERLA. Ee. I bez tego byłbym także poszedł. (*wychodzi do ogrodu*).

LUDKA. Siadaj — zmęczony jesteś. (*chodzi, wacha kwiaty*). Hulaliście w mieście co?

ORUG. Tak. (*wodzi za nią oczami*).

LUDKA. Kto był oprócz Katerli? One były te, te z półświatka? No mówże! słyszysz! Kajeczku mów. Kajetan!! a to nie gadaj — kiedy nie chcesz. (*podchodzi do niego, nagle*). Dlaczego nie zabrałeś mnie

ze sobą! Świętoszek! Mógłbyś mnie przynajmniej wykraść, zrobić jaką awanturę. Widzisz, że się już na tej podłej wsi zanudzę.

ORUG. Mama twoja także się nudzi. a przecież jeszcze młoda kobieta.

LUDKA. Mama? Maluje się (*siada w pobliżu*). Wiesz, raz tylko widziałam, jak mameczka dorabiała sobie rumieńce, ale od tego czasu, mama bardzo, bardzo dużo straciła w moich oczach. I po to, żeby oszukiwać mężczyzn. Mężczyźni nie tacy głupi (*po chwili*). Nie cierpię bab. Straszne gęsi. Złapać męża, mieć dzieci, rien de plus. To takie pospolite, blade, nudne (*po chwili*). Dla czego nic nie mówisz? nie złość mnie!!

ORUG. Cóż mam mówić? jesteś znowu w złym humorze.

LUDKA. I ty chcesz, żebym kochała się w tobie? po uszy? po najwyższe pióro kapelusza?! prawda? No mów! nie złość mnie! Kajetan!!

ORUG. Zawsze schodzisz na ten sam temat.

LUDKA. Bo dla czego ty chcesz, żebym się w tobie kochała, kiedy ja nie mogę! Ty nie masz w sobie nic z tego, co smak zaostrza, kusi, drażni. Nic, nic, nic i nic — (*smutnie*) — i chcesz być moim mężem. Żebyś przynajmniej coś wymyślił — jak tu tak się nudzę. Nie wyjeżdżamy w tym roku do kąpiel. Mama ma swoje fikusy, ale ja nikogo — prócz ciebie. Na śmierć się zanudzę.

ORUG. Mógłby papa urządzić ci tusze pod młynem.

LUDKA (*nerwowo*). Nie podrzywuj sobie ze mnie. Wpadnę w złość i raz skończę z tobą (*uspokaja się*). Niedobry jesteś. Psujesz się.

ORUG. W życiu często zmieniają się role.

LUDKA. Ale tobie nie wolno, rozumiesz! Wiesz, że cię lubię, czasem nawet cię kocham, lecz ty nic o mnie nie myślisz.

ORUG (*gorzko*). Za dużo dotychczas.

LUDKA. Kajeczku, dlaczego mi dokuczasz? Jabym już nawet chętnie wyszła za ciebie, lecz cóż ja mogę. Papa i mama nie chcą. Ja bardzo jestem biedna. Mój Boże! wyjechałabym z tobą za granicę. Szalelibyśmy — prawda — ach szaleć, szaleć. Wyszłabym nawet za ciebie wbrew mamie i papie, byle szaleć tydzień, miesiąc. Bo mnie tutaj nudno — nudno. Kajeczku, zlituj się, wymyśl co — bo mnie spleen ogarnia. Kajeczku, mój złoty — ja ciebie teraz bardzo kocham.

ORUG (*smutny*). Nie mów tak. Ty tak nigdy nie mówisz.

LUDKA. Cóż ja winna jestem, że mam taką naturę. Jabym kochała ciebie bardzo, boś ty dobry chłopak. Ale ja już jestem taka zła, taka nic niewarta. Mój Boże, mój Boże — (*przyciska oczy*).

ORUG (*wzruszony*). Ludka, daj spokój Ludka (*gładzi ją po głowie*). To już tak musi być. Nie płacz.

LUDKA (*nagle porywając go za ręce*). Ty mnie jeszcze bardzo kochasz? Kajeczku, kochasz? bardzo?

ORUG (*wysuwa ręce z jej rąk*). Po co o tem mówić — (*odchodzi kilka kroków, staje, patrzy w ziemię*). Wszystko ginie i to zginąć musi. Jest coś i czegoś nie ma. A że to coś jest lub było, to rzecz względna. Mogło nie być.

LUDKA (*zmienionym głosem*). Kajetanie! Ty mnie kochasz, ale ty mi już nie ufasz.

ORUG (*gorzko*) Kochać to znaczy *zapominać* o wszystkim innym. Cóż dziwnego, że *zapomniałem* ci ufać?

LUDKA. Odemnie zacząłeś?

ORUG. Tak.

LUDKA. Więc wojna?

ORUG (*siada — cicho*). Czy jest co na świecie, o co warta walczyć?

LUDKA. Nie masz prawa tak mówić. Masz mnie.

ORUG (*gorzko*). Ciebie. A *ja* gdzie się podziałem? ten ja, który pragnie, myśli, albo pragnął i myślał? może mu przecież coś należy się odemnie?

LUDKA. To wszystko jedno. Myśląc o mnie, myślisz tem samem o sobie, bo mnie kochasz.

ORUG (*z silną ironią*). A! niewątpliwie! W kochaniu cały świat się zamyka i nie ma nic po za niem! Miłość, miłość, miłość! hahahaha! Burze przechodzą nad ziemią i wojny — padają narody i systemy — mdleją od wysiłku ramiona i myśl, a ludzie tylko kochają się. Zmysł seksualny to oś świata, a nieszczęśliwa miłość to fakt historyczny! Hahaha! O jakże dumną powinnaś być Ludko!

LUDKA. Trzeba to inaczej powiedzieć, ale tak jest.

ORUG (*głucho*). Gdyby tak było, miałbym przynajmniej prawo rzec sobie — przegrałem stawkę, czas mi spocząć. Ale tu, w tym mózgu jest jeszcze miejsce na tysiąc innych myśli. Tu w tym mózgu jest samowiedza głupstwa. Coś, co ma skrzydła, rwie się, tłucze o czaszkę. Ja wiem, że nie na tej kresie, (*pokazuje palcem na podłogę*) co nazywa się nieszczęściem, kończy się granica życia, ale że po za nią jest niezmiernie królestwo myśli. I ja miałem także prawo bytu

tam, tam — po za tą kresą — dawniej (*patrzy przed siebie, cichym głosem*). — Zdawało mi się, że kiedyś wstanę i będę mówił ludziom o złotych blaskach ducha — zdawało mi się, że będę miał dość sił, aby podsunąć tłumom nową idealną wartość pod pojęcia życia — zamienić ich w zadumane latorośle nad brzegami wód — albo czy ja już wiem, co szumiało w tej mojej głowie.

LUDKA. Poezya, poezya.

ORUG (*gorzko*). A tak. To też pozostało mi tylko wspomnienie, że czemś byłem i że żyło się górniej. Ot puste wspomnienie.

LUDKA (*ziewa*). No i nudne jak te wszystkie abstrakcje. Nie gniewaj się, ale ty masz gusta średniowieczne. Lubisz absolut, gotyk i t. d. Ja, widzisz, nie umiem nadażyć za tobą. Mnie to nudzi. Tylu było przed tobą idealistów, tylu ich będzie po tobie i zawsze ludzie śmiać się z nich będą. Szczęście twoje chciało, że wzięłeś się zawczasu do tej pospolitej pracy, która daje złoto. Przynajmniej urządzisz mi życie wygodne.

ORUG. I zmarnieję.

LUDKA. Słuchaj Kajetan. Mnie już dosyć tych przyćminków. Od jakiegoś czasu pozwalasz sobie za dużo. Myślisz, że mię przez to do czegokolwiek zmusisz, do przyspieszenia dnia ślubu? Już mi dosyć tych katenjammerów. Wylewaj sobie żółć na Katerlę. Psuje ci kieszeń, to ty mu psuj apetyt.

ORUG. Nie ubliżaj mu.

LUDKA. Dobrałeś sobie towarzysza o chamskiej skórze i chamskich instynktach.

ORUG (*gwałtownie*). Słyszałaś Ludka! To mój przyjaciel!

LUDKA. Wiem, wiem jaki. Szczuje cię na mnie. Chce, żebyś mnie rzucił. Podły, podły! (*chodzi po scenie rozszoszczona*). Niech on tu tylko przyjdzie. Powiem mu, powiem mu! On ciebie tak przerobił! Oczy mu wydrapię! — (*powoli uspokaja się, chodząc*). O brzydko! o brzydko! tego nie spodziewałam się po tobie. Tak się zepsuć, zatruwać mi spokój! O brzydko! o brzydko! (*gwałtownie znowu*). Łajdak! łajdak!! łajdak!!

ORUG (*zły idzie szybko na lewo — mówi od drzwi*). Teraz nawet krzycz sobie dwieście razy głośniej — (*znika w parku*).

LUDKA. Osioł — osioł — (*chodzi żywo po scenie*).

(*Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Radomin*).

LUDKA. Cóż książę?

RADOMIN. Ach, nic nie widziałem. Febus wyrwał się i uciekł. Teraz łapią go na łące.

LUDKA. A klaczki?

RADOMIN. Que dois-je dire mademoiselle? Nie lubię rodzaju żeńskiego.

LUDKA. A tak. Starzy królowie zwykle nie lubią wojny.

RADOMIN. Lubią, lecz wojny zaborcze.

LUDKA (*wesoło*). Tak nawet? (*wyzywająco*). A cóż robisz z łupem?

RADOMIN. Jeśli są sułtanami, biorą do haremu.

LUDKA. Biedny książę! W Konstantynopolu każdy swój grzech mógłbyś odesłać do haremu. A tu trudno! Ha-

haha — jakby księżę cudownie wyglądał! w czerwonej czapeczce — z długim cybuchem w ustach — na własnych piętach posadzony — (*śmieje się do łez*).

RADOMIN (*bardzo wesoło*). Ach — panno Ludko — marzę o tem — bo pani byłaby tam pierwszą lub drugą królową.

LUDKA (*ostro*). Księżę zapominasz się!

RADOMIN (*śmiejąc się*). Wszak pani ten obraz stworzyła. Ja jestem tylko reproduktorem. (*ogląda się zabawnie*). Mtak.

LUDKA (*zanosząc się od śmiechu*). Co księżę powiedział!

RADOMIN. To samo, coby mógł Orug poręczyć.

LUDKA. Ach to okropny fafuła. Trąci pospółstwem.

RADOMIN (*przystępując bliżej*). Zatem panno Ludwiczko — choć nie pojedziemy do kąpiel — wszystko da się jakoś urządzić — —

LUDKA. Książątko coś bryka jak Febus. Mam zawołać masztalerza? (*śmieje się, cofa się*).

RADOMIN (*idzie za nią*). Nie, złota jaszczureczko — Masztalerza przekupię (*ogląda się wciąż*).

LUDKA (*nagle tuż podchodząc do niego, głową dotykając prawie jego głowy gwałtownie*). A to jakim prawem?

RADOMIN. Ach tem — że każda uczciwość zyzuje do pugilaresa.

LUDKA (*wyzywająco*). Niech księżę się cofnie, bo jak wejdzie papa lub mama.

RADOMIN. Przekupię papę i mamę.

LUDKA (*obrażona siada*). Księżę jest wstrętnym potworem.

RADOMIN (*cedząc*). Tak, potworem, przed którym kobiety czołgają się po ziemi —

LUDKA (*zrywając się nerwowo*). Książę mnie wyzywa?

Dobrze — zobaczymy, zobaczymy! książę przyczołga się do moich nóg! Książę!

RADOMIN (*nadszwyczał zabawnie, z głębokim ukłonem*).

Ale w czerwonej czapeczce i z cybuchem w ustach.

LUDKA. Książę! książę! bo umrę od śmiechu! Haha-haha!

RADOMIN. A królowa sprawi mi dwie poduszcзки, abym mógł siedzieć na własnych piętach długo — i wygodnie.

(*Wchodzi z ogrodu Orug*).

LUDKA (*zanosząc się od śmiechu chodzi po scenie*),

RADOMIN (*patrzy to na nią, to na Oruga, mówi komi-cznie*) mtak — mtak — mtak.

ORUG (*zakłada ręce na piersiach i patrzy zimno na nich*)

LUDKA (*do Oruga*). Żeby pan wiedział — jaki — książę — dowcipny — Hahahaha — Hahahaha.

ORUG (*bezbarwnie*). Podobno tak — w swójem towarzystwie.

(*Wchodzi z ogrodu Marya i Katerla*).

LUDKA (*biegnie do niej*). Ach Maniuto! jeszcze nigdy tak się nie uśmiałam — (*całuje ją kilka razy, spostrzega się, przedstawia*) Książę Radomin — (*Radomin i Marya podają sobie ręce*) A! znasz — (*odprowadza ją w głąb śmiejąc się*) Książę jest niemożliwy — (*do*

wszystkich) Proszę nam wybaczyć — *(opowiada jej wesoło w głębi pod statuą. Katerla, Orug, Radomin stoją kółkiem w pobliżu kwiatów).*

RADOMIN *(do Oruga)*. Dlaczego pan nie każe naprawić drogi w parowie? Jechałem dziś przez pańską Połęgę do Borek — ale to doprawdy karkołomna przeprawa. Niech woda jeden mostek znieśie, to w nocy można się przekonać osobiście o głębokości tej lub owej przepaści.

ORUG *(chłodno)*. Chcieliśmy, ale woda niszczy wszystkie roboty. Trzebaby drogę murować *(rozmarwiają dalej)*.

LUDKA *(do Maryi idąc ku kanapie)*. Masz słuszość Maniuto. Choć ty także nie jesteś aniołkiem. Zdradzasz mnie! Cały tydzień nie byłeś u mnie.

MARYA. Byłam zajęta.

LUDKA. Pewnie znowu coś nowego wymyśliłaś.

MARYA. Tak. Urządziłam dla chłopów kurs ogrodnictwa. Nie uwierzysz, jak mnie to zajmuje. Nauczyciel zna swój fach wybornie i ma dar zainteresowania. A wieśniacy jak widzą, że panna ze dworu pilnie się uczy, nabierają sami ochoty i ufności do przedmiotu.

LUDKA. Zazdroszczę ci. To takie ładne. Ja nie mam na to dość nerwów. Kto ciebie tego nauczył?

MARYA. Po części sama, po części a może najwięcej brat.

LUDKA. Jak wy dziwnie jesteście do siebie podobni.

MARYA. O nie, Kajetan jest wielkim umysłem i wielkim sercem, a ja mogę tylko uczyć się przy nim, jak trzeba żyć i myśleć.

LUDKA. Przecież tak wiecznie trwać nie będzie. Zakochasz się — natura dopomni się o swoje prawa.

MARYA (*śmiejąc się*). O to najmniejsza. Nie powstanie z tego kwestya życia i śmierci — jak powiada pan Katerla.

LUDKA. Pan *Katerla* tak mówi? (*patrzy na nią uważnie*).

MARYA. I cóż w tem dziwnego —

LUDKA. Nic, nic, że Katerla, tylko że ty Maniuto — E! ty coś za bardzo kochasz swojego braciszka. Takie panny zwykle kochają się w kimś drugim — choćby w jakimś *Katerli* — A co? rumienisz się?

MARYA (*z mieszaną*). Kajetan zastąpił mi ojca i matkę. Nie zrobiłabym nic takiego, coby jemu się nie podobało.

LUDKA. Więc ty dzielisz się z nim każdą myślą?

MARYA. Tak Ludko.

LUDKA. Jak ty mi się podobasz z tą twoją prostotą! (*całuje ją*). Duży dzieciaku! Lecz prawda! co zrobimy z naszą wycieczką? Wytoczyłam już całą drogę na mapie — same prześliczne okolice. Ani jednej z nich nie znasz. Nie wierzysz? Chodź do mnie! pokażę ci na mapie.

MARYA. Nie wypada — książę.

LUDKA. Aa! on i tak pójdzie oglądać konie. (*idzie z Maryą w głąb sali*). Miałabym też na kogo zwać. (*od progu*). Panie Katerla — prosimy na naradę. (*do pozostałych*). Przepraszamy panów — kwestya gabinetowa. — (*Marya, Ludka, Katerla odchodzą w głąb prawemi drzwiami*).

RADOMIN. Rzecz to obojętna, co robimy i jak robimy. O ile efekt końcowy jest silny, tout va pro-

sperer! I zło wielkie i dobro wielkie imponuje. Świat liczy się nie z etyką, bo ta nie istnieje, a jeśli istnieje, to dla gminu — lecz z *przemocą*.

ORUG (*zimno*). Książę mówi tak, bo to brzmi oryginalnie w ustach księcia.

RADOMIN. Je m'en fiche. Wszędzie jestem ten sam, gdzie pan chcesz tylko — w salonie i na ulicy, w życiu publicznem i w miłości. (*żartobliwie*) Gdyby pan poszedł w moje ślady, byłby pan już albo kochankiem albo mężem . . .

ORUG. Czyim książę?

RADOMIN. Ach, ach. Jak pan cudownie symulujesz. (*śmieje się*). I żeby do dziś dnia nie posiadać panny Ludwiki!

ORUG (*stłumionym głosem, wściekły*). Czy książę zamysła *tutaj* w czyn wprowadzać swoje zasady?

RADOMIN. (*szydłerczo*). Ten dziwny ton.

ORUG. Książę — pytam.

RADOMIN (*wyniosłe, szydłerczo*). Odpowiem pytaniem. Pan *tutaj* śmie mię pytać o to, co chcę robić?

ORUG (*zakłada ręce w tył, staje blisko niego, gardlanym niskim głosem*). Tak, bo książę musisz odpowiedzieć. — Drażnił mię wasz śmiech — drażni mię cynizm księcia.

RADOMIN. Mój panie, to brak wychowania.

ORUG. Nie, to *przemoc* książę.

RADOMIN (*wściekły*). Wpierw proś pan o jej rękę, a potem gadaj ze mną.

ORUG (*gwałtownie, niskim głosem*). Księżciu zasię do niej! Czym prosił o jej rękę, czy nie, księżciu zasię! W tym domu bywam i nie dam nikomu wbijać zęby

w ich cześć. Książę szukaj na szerokim świecie pola dla swojej teorii! Tu ona *mnie* się nie podoba. Jeżeli książę roztrwoił swój honor na rynkach łatwych miłostek, to tu będzie księciu pobyt trudnym bez tego honoru!

RADOMIN (*wściekły*). Pan nie wiesz, co mówisz! (*cofa się*).

ORUG (*następując na niego, prawie szeptem*). Wiem co i komu! Książę wnioskuje ale krótko i mądrze. Wiesz żeś nie w Ostendzie ale w Borkach — i żeś w złą chwilę trafił. Książę przyswoisz sobie ten mój pogląd. Książę zapamiętasz to sobie, że są ludzie, którzy do czegoś *mają* prawa, choć zdają się ich nie mieć. Tak mości książę —

(*wytrzymuje go wzrokiem, odchodzi, siada, oddycha ciężko*).

RADOMIN (*prostuje na sobie ubranie, jakby było zgniecione, zmieszany*). A to doprawdy — mon cher monsieur. Kapitalny wypadek. (*ironicznie*) Żebym był wiedział. Uszanować czyjąś boleść — czyjeś — *niepowodzenie* — chętnie. Ach niezwykle.

(*Wchodzi z głębi prawymi drzwiami Michał*).

MICHAŁ. Jaśnie panowie proszą jaśnie księcia. Konia złapano (*czeka*).

RADOMIN. Ach już? (*do Oruga uszczypliwie*). To koń-

skie *niepowodzenie* jest istotnie zabawne. Nieprawdaż panie Kajetanie? Au revoir.

(Ochodzi w głąb za lokajem).

Ten sam salon — czas poranny. Zenon i Laura siedzą pod gobelinem. Ludka chodzi po sali. Adam po lewej stronie siedzi w pobliżu kwiatów i struga podpórki.

ZENON SOBICKI. Dawałem wam co roku pieniądze na bady. Ale raz uwierzcie mi, że nie mam pieniędzy.

LUDKA. Tatko nie ma. Tatko zawsze nie ma. Umyślnie.

LAURA. Sans doute, sans doute.

ZENON (*zrywa się zły*). Proszę was, dajcie mi święty spokój. Kto kogo nie ugryzie, to wy mnie zawsze. Każdy wylewa na mnie swój zły humor. A ja co? Ani pan domu, ani ojciec? Oo — dosyć, już dosyć! (*siada na innym krześle*).

ADAM (*po chwili milczenia*). Nie potrzebnie uniosłeś się Zenonku. To nadwyreża twoją powagę. Żeby tak który z filozofów to widział —

LUDKA (*wybuchu śmiechem*).

LAURA (*przestraszona patrzy to na męża, to na Adama*).
Adasiu — Zenonku.

ZENON (*ostro do Adama*). Ja ci się jeszcze raz pytam, czy mam ci wypłacić zaległą ratę dzierżawną?

ADAM. Ależ Boże — widzisz przecież, że strugam papytyki.

ZENON (*do Ludki*). A ty tylko śmiejesz się i śmiejesz, aż zostaniesz starą panną. Obie z matką politykujecie i politykujecie, aż wypolitykujecie — wróbla.

LUDKA. Proszę bardzo papy nie wtrącać się w nie swoje rzeczy. Jak mi się będzie podobało, to zostanę starą panną! Kupię sobie *dogę* i będę chodzić na spacer z *dogiem*.

LAURA. Sans doute, sans doute.

ZENON (*ze złością*). Doute, doute, doute — ciągle tylko doute. Co wy myślicie, że ja mam ukryte kapitały? Borki wielkie, ale wasze wyjazdy pochłaniały cały dochód. Adamowi płacę dzierżawę z Dębiny i to nie małą. A tych sto tysięcy kapitału, z którymi przystąpiłem do spółki z Orugiem — to to nasz właściwy majątek. To cały posag Ludki. I to wszystko — wszystko, co mam. — Przysięgam wam.

LAURA (*zdumiona*). Boże —

LUDKA (*po chwili, szybko, zdenerwowana*). Dla czego papa dopiero dziś mówi mi całą prawdę? Słyszałam zawsze, że mam miliony. To było brzydko ze strony papy, nieuczciwie. Ja miałam także swoje obliczenia. Przecież za byle kpa nie mogłam wyjść. Ale teraz dopiero widzę, że ci, których umiałam podbić sobie, wywiadywali się lepiej odemnie, ile mam posagu. To było nieuczciwie ze strony papy! i ze strony mamy! a tak!

LAURA. Ludeczko, co ty mówisz?

LUDKA. A tak i ze strony mamy. Nie pozwoliliście mi działać na swoją rękę.

LAURA. I ty także chciałaś zrobić partyę.

LUDKA. To, co ja chciałam, to już była moja rzecz. Myślałam, że mam miliony. Gdybym wiedziała całą prawdę, umiałabym sobie inaczej poradzić. Przez was zepsułam sobie los.

ZENON. Ależ Ludka — moje dziecko —

LUDKA (*tupie nogą*). Tak jest papo, przez was, przez was.

LAURA. Ludeczko, upamiętaj się.

LUDKA. Niech mi mama nie mówi o upamiętaniu się.
Nareszcie cała prawda wyszła na wierzch, że jestem
biedna, biedna, biedna —

(Łka, siada).

ZENON. Co ty mówisz dziewczyno?

ADAM. No Ludka — masz w głowie zajączki.

LUDKA. Niech stryj patrzy patyków!! *(zrywa się)*. Ja —
ja — powiadam — żeby mi teraz nikt nie sprzeci-
wiał się w niczem. Ja — ja — nie wiem — co ja
mogę zrobić. Znacie mnie, ja nie żartuję. — Jak raz
ucieknę w świat, to mnie nie znajdziecie. Czy mama
i papa rozumie?? — !!!

ZENON *(cichym głosem)*. Nikt z nas nie robi ci na
przekór.

LAURA *(przerażona)*. Ja — myślałam o księciu — ale
wczoraj tylko.

ADAM. Patrz Ludka — jakie mają miny — Hahaha —

LUDKA *(wybuchając śmiechem)*. Hahahaha. No papko —
proszę nie mieć takiej wylęknionej buzi. Mamo —
przecież jeszcze nie zabiłam nikogo — mameczko.

(całuje ją, siada przy niej).

ZENON *(wstaje)*. Rób co ci się podoba. Ja chciałem
to ci tylko powiedzieć, że mojem zdaniem powinnaś
ostatecznie przyjąć oświadczyzny Oruga choćby dla
tego, że jest milionerem. Ale chciałem ci to tylko
powiedzieć.

LUDKA *(buńczucznie)*. A jeśli ja postanowiłam to
samo?

ZENON *(otwiera ramiona)*. Ludka! dziecko moje złotel

LUDKA (*rzuca mu się na szyję*). Lubię go. Nie zrobię partyi świetnej, ale za to będzie dobry z niego pan-tofel.

ADAM. Hm, Hm. To jest trzeba będzie kupić wózek dziecinny na gumach.

ZENON. Proszę cię Adasiu!

LUDKA. A więc papko pomówi dziś z Orugiem ale ostrożnie — i weźmiemy ślub choćby za indultem.

(całuje go, odchodzi ku drzwiom ogrodowym).

LAURA (*cicho płacze*).

ADAM. Te same smaki bez indultu.

LUDKA. A ja pytam się o to stryja? (*patrzy na ogród, stojąc na progu*).

ZENON. Lorciu! co? ty płaczesz?

LAURA (*ociera oczy*). Moja córka wyjdzie za syna do-robkiewicza. To przecież cios dla mnie.

ZENON. Ale pomyśl moja złota! Tyle lat trzymaliśmy Oruga w odwodzie. Należy mu się za to jakaś nagroda.

LUDKA (*kłania się komuś na progu drzwi ogrodowych*).

LAURA. Ja się w to nie mieszam. Ale taki mezalians, to cios dla mnie. Moja rodzina będzie oburzona. Myślałam, że księżę Radomin — ale tego także nie chcecie. Ja — ja w nic się nie mieszam.

(z płaczem spazmatycznym odchodzi w głąb prawemi drzwiami).

LUDKA (*z progu*). Dzień dobry panu. Tak wczas rano w ogrodzie? (*znika w parku*).

ZENON. Masz ją! nowy atak nerwowy! Chodź mi pomóc Adasiu. (*Adam i Zenon odchodzą za Laurą popiesznie*).

(*Wchodzi z ogrodu Ludka z Orugiem*).

LUDKA. Co mój pan dzisiaj taki zaszępiiony? Siadaj, zmęczonyś? (*siadają przy klombie*).

ORUG. Nie. Trochę dumałem, trochę myślałem.

LUDKA. I nie spałem całą noc — prawda!

ORUG. Czy to zbrodnia? Jedna dobra myśl więcej warta niż sen smaczny i długi.

LUDKA. I czym ty tak się trapisz? Każdy inny na twojem miejscu byłby szczęśliwy, wesoły. Wiesz, że zżyliśmy się ze sobą więcej, niżby kto przypuszczał. Nie mamy dla siebie żadnych tajemnic. Mówimy sobie ty —

ORUG (*ironicznie*). Tak — to dowód — przynależności.

LUDKA. Ja wiem, że ciebie męczyła niepewna sytuacja w naszym domu. Lecz ty wszystkiemu za bardzo się poddajesz. Nie dziw się zresztą rodzicom. Byłam trochę słabowita. Sama także dużo zawiniłam. (*kokieteryjnie*). Lecz kto cierpi, bywa zbawionym. — (*po chwili*). Ty nie domyślasz się pewnie, dla czego w tym roku nie wyjechałam z mamą do badów. (*po chwili*). Książę nie będzie u nas długo bawił —

ORUG (*wstaje, odchodzi w głąb sali, wolnym krokiem wraca, staje przed nią z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zimnym głosem*). Rozumiem wszystko dobrze.

Powiedzieć mogę to jedno — (*Ludka nerwowo obrywa liście kwiatów i drze je*). Kiedy poznałem ciebie, byłaś inną — inną. Od owej chwili nasze myśli i uczucia toczyły się po rozbieżnych liniach. Gdzie ty jesteś, nie wiem. Gdzie ja zatrzymałem się, nie wiem także, ale chciałbym wiedzieć. I dlatego teraz jeszcze mniej jesteśmy bliscy sobie niż byliśmy przedtem. Ty wytężasz wzrok, aby dojrzeć to, co stoi *przed tobą* — ja poczynam patrzeć *uporczywie w siebie*. Czy kiedykolwiek oczy nasze spoczną na jednej i tej samej myśli, nie wiem. Wątpię. Wątpię bardzo. (*stoi nieruchomo*).

LUDKA (*nerwowo*). Czy *to* miałeś mi powiedzieć na dzień dobry? Słuchaj Kajetanie. Czy ty choć raz starałeś się być mną, a przestałeś być sobą? (*gwałtownie*). Co ty za ofiarę poniosłeś dla mnie, żebym ja miała być *twoją* ofiarą? no powiedz, powiedz! Zadręczałeś mnie przed laty tą, tą twoją poezją, temi twojemi poetycznymi wizjami, mrzonkami. Teraz znowu chcesz grać mi na duszy melancholią i goryczą? Czy ty choć jedną odrobinę poświęciłeś z siebie dla mnie? (*patrzy mu wprost w oczy ostro*).

ORUG. Dałem — całe moje życie!

LUDKA. Kłamiesz!

ORUG. Szalony byłem, ale dałem całe moje życie. Tyś chciała mieć mię innym, targałem więc duszę na kawały, aby być innym.

LUDKA. Kłamiesz! Kłamiesz!

ORUG (*gwałtownie*). Ludka! Dla ciebie zabijałem w sobie wolną myśl, a stawałem się wyrobnikiem złota! dla ciebie!!

LUDKA. Kto chce rodzinę stworzyć, musi nim być.

Tysiące robią to codzień i nie puszą się z tego.

ORUG. Niech robią, jeżeli tak żyć mogą — niech robią. Ja ich śladem już dalej nie pójdę. Wy sami nie daliście mi zapomnieć o przeszłości. Jeśli nie jestem tym, kim byłem — to przynajmniej nauczyłem się wątpić. To »wątpić« jest dziś całym moim królestwem. W tem »wątpić« — żyję — myślę — jestem.

LUDKA. Oo! co za obrona! Więc to ja wtrąciłam cię w to straszne nieszczęście?

ORUG. Kochałem, ale ty nauczyłaś mnie tej prawdy, że można bawić się cudzą duszą jak piłką.

LUDKA. Mężczyźnie powinno wystarczyć to, że *on* kocha. Ja będę dość *musiała* kochać jak będę żoną, matką. —

ORUG. Ha ha ha — Dla ciebie uczucia istnieją te, które muszą być.

LUDKA. Tak jest, które muszą być. I dlatego książę będzie cię zawsze wprawiał w zły humor. Podobno wczoraj zrobiłeś mu scenę zazdrości.

ORUG. Tak było. Lecz na twoje nieszczęście przekonałem się też o tem, jak bardzo jest rzeczą śmieszną stawać *w twojej* obronie.

LUDKA (*zdumiona, zrywając się*). Jakiem prawem śmiesz tak do mnie mówić?

ORUG. Tem, że znam twoją naturę! Kochałem ciebie, może nawet jeszcze kocham gdzieś w głębi duszy, ale taką małą stałaś się w moich oczach, że już nie umiem zniżyć się do ciebie!

LUDKA. Co? co! A to ciekawe! Choć wiesz co? Jesteś grubijaninem, ale przynajmniej jesteś w tem męż-

czyzną! Ty nim nigdy nie byłeś! A mnie to się podoba! Mnie wszystko jedno, co ty myślisz sobie o mnie, ale takim wołę ciebie. Bo to ma w sobie coś ze zgrozy, coś z mocy.

ORUG (*siada*). I coś z wyrachowania.

LUDKA. Niech będzie z wyrachowania. Nie jestem naiwna, aby się o to oburzać. Każdy ma w czemś swój interes. Nawet ten twój Katerla, który jest tak bardzo twoim przyjacielem, jest nim z interesu.

ORUG. Już raz cię prosiłem, abys o nim mówiła inaczej.

LUDKA. Dobrze, dobrze, niech wpierw tylko skończę. Bo cobyś tak np. rzekł, gdybyś się dowiedział, że Katerla — ten, ten szlachetny Katerla polubił twój majątek — że — liczy np. na posag twojej siostry — no i że tych dwoje ma się ku sobie.

ORUG (*zaskoczony*). On byłby mi powiedział.

LUDKA. Jest widocznie bardziej subtelny od ciebie. Czuje, żeby to dziwnie brzmiało w *jego* ustach — i to w takiej sytuacji.

ORUG. Nie wierzę.

LUDKA. Ale za to wierzysz jeszcze w naiwność przyjaciela? Poczekaj. Może się czego nauczysz (*dzwoni, wchodzi z głębi lewymi drzwiami lokaj*). Gdzie jest pan Katerla i panna Marya?

LOKAJ MICHAŁ. W sali jadalnej kończą właśnie śniadanie.

LUDKA. Czy jest kto więcej przy stole?

LOKAJ. Nie ma nikogo, proszę jaśnie panienki.

LUDKA. Jak skończą, poproś ich do salonu.

(*Michał odchodzi*).

ORUG (*szrywa się gwałtownie*). Dlaczego pytałaś go o nich? Gdyby nawet tak było, co tobie do tego?

LUDKA. Katerla jest moim wrogiem. Kiedy tak, to powinieś wiedzieć, czy ten twój przyjaciel jest tak bardzo bezinteresownym. — Przyjrzyj mu się bliżej. Może się wtenczas przekonasz, że ja nie najlepsza, ale i nie najgorsza.

(*Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Marya — za nią Katerla*).

LUDKA (*całując Maryę*). Dzień dobry Maniuto. Kazałam was poprosić do salonu, ale zniknę wam na kilka minut. Mam jeszcze przegłędnać notatki do mojej lekcji. Dzień dobry panie Katerla. Lekcja będzie wkrótce, dobrze? (*podaje mu rękę*). A ty Maniuto wpadnij do mnie. Opowiem ci, jaki miałam sen tej nocy. Ciekawy. Pamiętaj, przyjdź. (*odchodzi w głąb prawymi drzwiami*).

MARYA (*do Oruga*). Coś taki zasępioń Kajeczku? (*całuje go w czoło, Orug całuje ją w rękę, siedzi skulony*).

KATERLA. Mówiłem pani, że będzie z nim coraz gorzej. Raz te głupie wizyty muszą się skończyć (*siada w oddaleniu od niego*).

MARYA. Jeżeli Kajeczku na mnie zważasz, to nie krępuj się tem. Lubię Ludkę, ale przecież ciebie tysiąc razy bardziej kocham.

KATERLA. Bawcie się państwo w grzeczności, a Kajetan wyjdzie na tem, jak Zabłocki na mydle. Jak ćma do lampy, tak on do każdego wrażenia leci na łeb, na szyję.

ORUG (*skulony, nieruchomo patrzy w podłogę*).

MARYA. Kajeczku, co tobie?

ORUG (*opryskliwie*). No nic — (*zrywa się, chodzi po sali w tę i ową stronę*). Nic, nic, nic, powiedziałem już, że nic. Tacyście ciekawi. Ani chwili nie można mieć spokoju. — Nie jadłem śniadania! dlatego! — Wszyscy mną się opiekują. — W jednej minucie tysięcy pytań i tysięcy zdań moralnych! (*siada w pobliżu*).

MARYA. O co się gniewasz?

ORUG. Teraz znowu będziesz się pytać, o co!

MARYA (*po chwili*). Mógłbyś gdzie wyjechać, zerwać się. Dawniej lubiłeś podróżować. W tym miesiącu zbiera się kongres pokoju w Zürich. Interesowałaś się tą kwestyą. Albo zabierz mnie ze sobą. Pojedziemy do Norwegii. — Odnajdziesz swój fjord ulubiony i będziesz znowu pisał pamiętniki — dumiał. — To, co teraz robisz, każdy inny potrafi. Ludzi fachowych i sumiennych nie brak. — Kajeczku, pomyśl.

KATERLA. Tak jest. Bawisz się w dyrektora fabryk. Rzuć do dyabła to zajęcie. Ty nie jesteś stworzony na białego murzyna.

MARYA. Tak, tak. Pan Stefan ma słuszność.

ORUG (*z naciskiem*). Więc mówisz, że *on* ma słuszność.

MARYA. Bez wątpienia braciszku. Ja już dawno chciałam ci to samo powiedzieć, ale nie umiałam. Tak, ty musisz żyć więcej swojemi pragnieniami. Twoja na-

tura nie znosi twardej konieczności, a przedewszystkiem monotonii obowiązków.

KATERLA. Słuchaj siostry Kajetanie. Panna Marya ma słuszną.

ORUG (*z naciskiem*). Więc ty mówisz znowu, że moja *siostra* ma słuszną?

KATERLA. Przecież nie głuchy!

ORUG (*wstaje zdenerwowany, chodzi po sali*). Zerwać, zerwać powiadacie — z czym? Nie mam być dyrektorem fabryk. Hahahaha. Tylko tyle. Zerwać ze Sobickimi, Ludką. Tylko tyle. To chyba za mało. To chyba nie uratuje mnie jeszcze. Tylko z tem zerwać. Hahahaha. (*staje przed nimi*). A czy wy domyślacie się, że ja już nie wiem, z kim mam *nie* zerwać? (*dalej chodzi*). O kogobądź otrę się, pewnie na dnie jego duszy jest coś więcej niż zdaje się być. Bo przecież, gdy kto kryje się z czemś, to knuje, czyli inaczej myśli niżby to powiedział. Tylko z tamtymi zerwać. Hahahaha. Co za banalna rada! jaka nieszczerza! (*znowu staje, lecz zdala od nich*). A ja wam powtarzam, że ja już nie wiem, z kim mam *nie* zerwać! I wiem to także, że ten dom, że ten świat, na którym stoję, powinien rozpaść się tędy, o tędy — i wy wszyscy powinniście tam pozostać — a ja tu z tej strony — sam.

KATERLA. Myśl bardziej trzeźwo. Lada małpa potrafi wytrącić cię z równowagi.

ORUG (*zgryźliwie*). Trzeźwo! A ty co zwojowałeś swoją trzeźwością? Kim jesteś?

KATERLA (*wstaje*). Wolnym człowiekiem. Mnie nic w świecie nie wiąże. Dziś jestem twoim sekretarzem,

śpię na puchach i lokaj mi usługuje. Jutro będę drwa rąbał i będzie mi z tem dobrze. I będę pluł tak samo na to, co śmieszne i marne i tak samo stał tam duchem, kędy czysta myśl ludzka żyje. Byle do gęby móc co włożyć — to i wszystko.

ORUG (*zdenerwowany w najwyższym stopniu*). Słuchaj Katerla. Ty widzisz *swoją* drogę. Tyś taki jak i oni. Dla ciebie czyn to coś, co jest ruchem zewnętrznym. U mnie wszystko zaczyna się stąd, z pod serca, z duszy. Ty wiesz, *co dlaczego* robisz, lub się o to nie troszczysz. A ja nie wiem nic, a o to się troszczę. Tobie się zdaje, że przyłgnąć duszą całą do jakiejś choćby podłej miłości i w tym kierunku pchnąć wszystkie władze myśli — wiary i zżyć się z tem, stopić w jedną całość — to potem dość w garść plunąć — aby dusza jak oliwa oddzieliła się od wody. Tyś taki, tyś taki. — Ale u innych jak fundament runie to i dusza runie i w nich nie ma nic, nic, coby miało wartość. Muszą szukać, budować, pytać się siebie dzień i noc. Może teraz rozważysz to ty i moja siostra — rozsądny człowieku! (*wypada do ogrodu*).

MARYA (*chce wybiec za nim*). Kajetan!

KATERLA. Zostań pani. Sam prędzej się uspokoi. Pani drży. Panujmy wpierw nad sobą.

MARYA. Boże, Boże — jak się to skończy.

KATERLA. Nie wierzyła mi pani, że Ludka jest jego złym szatanem. Może pani teraz uwierzy. Ale mu zagrała na nerwach.

MARYA. Co pan mówi? czy mogą być takie kobiety?

KATERLA. Nie znam ich, ale widać są, bo przecież patrzę codzień na jedną z takich.

MARYA. Boże! Boże!

KATERLA. Mnie samemu przykro, że tak się stało.

Kajetan jest opryskliwy. Dla mnie to nic. Ja nawykł ocierać się o słowa ostre jak nóż. Mam naskórek stwardniały. Lecz że na panią to tak nagle spadło.

MARYA. Ale pan nie boi się o Kajetana?

KATERLA. Bije się z myślami. To wszystko. Wątpię, aby było coś więcej. Znam go.

MARYA. Czy on tak bardzo kocha?

KATERLA. Tak.

MARYA (*smutnie*). To lepiej może, aby kochał dalej.

Miłość nie wybiera. Daje niepostrzeżenie duszę duszy i pozostawia je losowi.

KATERLA. Zawsze to fata morgana. Szkoda robić z nich kwestyę życia lub śmierci.

MARYA (*smutnie*). Jeśli te fata sama przez się nie stają się ową kwestyą.

KATERLA. Czyli ja — mogłem bardzo zawinić. Otwierałem Kajetanowi oczy na odwrotną stronę medalu.

MARYA. Przecież Pan tego nie robił dla igraszki?

KATERLA. Uważałem to za swój obowiązek. Wypalałem wrzód rozpalonem żelazem, aby uchronić człowieka od głupstwa życia. Nie żałuję tego, że tak zrobiłem. Żałuję tylko, że to może mieć smutne następstwa.

MARYA (*przerażona*). Co pan mówi? Pan wie co? (*chwytą go za rękę*).

KATERLA (*zatrzymuje jej rękę dłużej mimowoli*). Jaki

ja niezręczny. Mówię zawsze prosto z mostu, a tu trzebaby liczyć się z wyrazami. Niech mi pani nie bierze tego za złe. *(całuje ją w rękę, puszcza ją)*. Chciałem właściwie powiedzieć, że *pani* będzie najbardziej się dręczyła tą sprawą — *(zmieszany)* to jest, że to dla pani — że dla pani zdrowia. — Jak jadziś mówię.

MARYA. Więc pan umyślnie krył to wszystko przedemną?

KATERLA. Ja — umyślnie? Dlaczego bym ja miał przed panią kryć. Ja kryłem. — Ale tak. Do licha! czy ja wiem, jak się to stało. No bo pani tak bardzo czuje.

MARYA. Od dziś dnia pan nie będzie nic krył przedemną — dobrze? Ja pana bardzo proszę — *(podaje mu rękę)*.

KATERLA *(ściska jej rękę)*. Kiedy pani żąda, to już widać tak musi być. Ale ja pani czas zabieram. Pani miała iść do panny Ludwiki. — *(jego zmieszanie rośnie)*. Ja — poszukam Kajetana. Jak mi się uda, to może będę. — Tak, ja z nim pomówię. Albo — nie. Właściwie głupio mówię. Ja — już nie wiem sam dlaczego — tak głupio. — No.

MARYA. Niech pan go poszuka. *(od drzwi)*. Po obiedzie odjedziemy do domu — *(odchodzi w głąb prawymi drzwiami)*.

KATERLA *(ogląda się mimowoli za nią, chustką ociera sobie pot z czoła)*. Tam do licha. Spociłem się czy co? Czyżbym jej czarowi uległ? Ee — bzdurstwa.

(Wchodzi z głębi lewymi drzwiami Leon Borsuk i Adam).

LOKAJ *(wchodzi z głębi prawymi drzwiami)*. Jaśnie panienka prosi pana na lekcję.

KATERLA. Mnie?

(odchodzi za lokajem).

LEON BORSUK *(mówi szybko, trochę szepleni, szpakowaty, obrosły, tęgi)*. Przepraszam, że o tak wczesnej godzinie. Ale dobro obywatelstwa każe mi być niegrzecznym. Więc mój kuzyn bawi u państwa. Doprawdy miła niespodzianka.

ADAM. Wczoraj popołudniu przyjechał.

BORSUK. Książę Zdzisio? U państwa wszystko po dawnemu? To bardzo zachęcające. Koniki łaskawego sąsiada zdrowe? Tak. — Febus także? bardzo się cieszę. Ale panie nie wyjeżdżają za granicę w tym sezonie, bo moja żona wyjechała.

ADAM. Tak, jeszcze nie.

BORSUK. To kosztuje bardzo, bardzo. Ale moja żona zawsze wyjeżdża. Jakże koniczyna u panów? Moja gnije. Padło mi kilkanaście sztuk bydła. Ale książę Zdzisio zdrów.

ADAM *(tą samą intonacją)*. Książę zdrów, ale mój źróderek chory.

BORSUK *(wyciera nos artystycznie)*. Szkoda, bardzo żałuję, bardzo. Sprowadziłem centryfugę, ale fatalnie oszukałem się. Pan słyszał, Ameryka wypowiada nam wojnę cłową —

ADAM *(podstępnie)*. Tak, tak, ale mój źróderek chory. *(siadają)*.

BORSUK. Nie może być. Ktoś mi wspominał. Mam taką pamięć krótką. Bardzo żałuję. *(wchodzi z głębi lewymi drzwiami książę Radomin)*.

BORSUK (*zrywa się*). Kochany Zdzisio!

RADOMIN. Ach Leonek! Mon cher! Ty nie w Karlsbadzie?

BORSUK. Sprawy krajowe. (*całują się*).

RADOMIN. A żona?

BORSUK. Wyjechała przedwczoraj. Chora na nerki.

KSIĄŻĘ. Na nerki? Taka piękna kobieta? szkoda! Ale wiesz, patrzę przez okno — ktoś jedzie. Poznają i nie poznają. Coś mię tknęło, więc zbiegłem na dół, a to ty. Dzień dobry panie Adamie. Przepraszam (*podaje mu rękę*).

(*z głębi prawem drzwi wchodzi Zenon Sobicki*).

ZENON (*idąc z wyciągniętą ręką*). Co za rzadki gość.

BORSUK. Bardzo się cieszę, że mam sposobność widzieć łaskawego sąsiada. Jak to dobrze, że Zdzisio jest z nami.

ZENON. Przepraszam, że przerywam, ale panowie będą może łaskawi co przekąsić.

BORSUK. Bardzo, bardzo dziękuję, jestem już po śniadaniu.

ZENON. Może książę.

KS. RADOMIN. Ach śniadałem już w swoim pokoju. Dziękuję.

BORSUK. Ja nawet nie będę zabierał dużo czasu. Sprowadziłem właśnie centryfugę najnowszego systemu. Łajdak fabrykant oszukał mię. Ale przywiozłem kilka wiadomości. Doskonale, że jest Zdzisio. To się da jakoś zrobić. Czy panowie wiecie, że my jesteśmy bliscy bankructwa?

ZENON. Co pan mówi?

BORSUK. Przez Oruga.

KS. RADOMIN. Ach niezwykle.

BORSUK. Powiem łaskawym sąsiadom nic więcej tylko to, że interesa naszej spółki w najwyższym nieporządku. Orug zaawanturował się w jakąś miłośćkę w okolicy, stracił łeb, przepraszam za wyrażenie, du-reń skończony. Jakiś Katerla ogrywa go w karty. Podobno heretyk z pod ciemnej gwiazdy. Ale co łaskawym panom powiem, to rzecz najważniejsza — (*do Zdzisia*). Mon cher, je suis énervé.

ZENON. Co się stało?

RADOMIN. Ach, nie traćcie panowie głowy. Co Leosiu?

BORSUK. Otóż na posiedzeniu spółki w tę niedzielę Orug wniesie projekt, aby połowę czystego dochodu obrócić na budowę domów dla robotników. Jakie domy! Scena ma być także. Profanacya pracy. I Orug nas przegłosuje. Ma w swoich rękach więcej głosów niż my wszyscy razem.

RADOMIN. Ach, ach.

ZENON. Wielkie zdanie wypowiedział Schelling »wyrównywać przepaście dzielące całe generacye i rody« —

RADOMIN. Ach panowie, szczęśliwy jestem, iż ta okoliczność tak jasno wypukła nam osobistość Oruga. Trzeba mu będzie panowie na niedzielne posiedzeniu okazać całą naszą wyższość.

BORSUK. On nas przegłosuje. To profanacya! Dywidenda spadnie do zera. (*do Zenona*). Łaskawy sąsiadzie co będzie?

ZENON. Książę — co począć.

RADOMIN (*wstaje*). Panowie chętnie. Panowie trzeba agitować. Albo, albo. Point de rêveries. Pozwoliliśmy

mu wspiąć się w górę zbyt wysoko. Ja nie bronię żadnych ideałów, ani tradycyi. Sam stoję ponad tem wszystkim, lecz rzecz inna, on. Przedewszystkiem panowie — jednogodnie zgłosimy rozwiązanie spółki. A ja panom ręczę, że zmięknie jak baranek. Wypowiedzieć kapitały bez przyczyny byłoby to nieszlachetnie. Ale teraz, kiedy nadarza się wyborna sposobność, będziemy podwójnie zwycięzcami — honor nasz będzie czysty i w ręce dostaniemy cały jego interes. Bo on pod taką grozą będzie musiał nas prosić o spłatę swojej części. Złożymy potrzebne kapitały i tak będziemy panami wyłącznymi spółki.

ADAM (*który od dłuższego czasu kręcił się niespokojnie po salonie, wysuwa się do ogrodu*).

BORSUK. Zdzisio! Zdzisio! Niech cię uściskam. Co za Ciceró. Powiedzno w niedzielę contra Catilinam. Przestałem już nawet martwić się tą centryfugą. (*zrywa się*). Agitacya! agitacya! Już ja mu przystawię stołka w okolicy.

RADOMIN. Panowie! nie traćmy zatem czasu. Czas to złoto. Na jutro sprosimy współników do pana Leona. Tam postanowimy ostateczną decyzję. Ja pojedę do Jezierskiego.

BORSUK. Ja do pana Kolanko. Wczoraj uciekł mu guwerner z jego siostrzenicą, ale to nic (*do Zenona*). Do widzenia. Nie mogę. Nie mogę. Już muszę łąskawy sąsiedzie. (*całuje Radomina*). Jedziesz do Parzyża co? A! ty do Jezierskiego, prawda!

(*Wchodzi z głębi prawemi drzwiami Ludka wzburzona*).

BORSUK. Bon jour mademoiselle. Excusez moi (*po-*

daje jej rękę). Spieszę się nadzwyczaj. Ukłony od mojej żony. Mameczce także. Kazio żeni się z Antosią. Komiczna para, co? Hahaha. Adieux, adieux. Excusez moi mademoiselle. Zostajesz Zdzisio?

RADOMIN. Ach małą minutkę.

(Borsuk odchodzi w głąb lewymi drzwiami, za nim Zenon).

RADOMIN *(do Ludki, która chce wyjść do ogrodu)*. Co za gniew w cudownych oczętach. Proszę zostać. Co się stało?

LUDKA *(chodzi po sali)*. Ten głupiec tak mnie wzburzył — Katerla. Rzuciłam mu książkę w nos. Nieokrzesany gbur. Mało, że słucham jego głupiej socjologii, on śmie jeszcze głos podnosić.

RADOMIN. Kto szuka popularnych wrażeń — — —

LUDKA. Oo! kogo — to księcia zjadły owe popularne wrażenia!! Hahahaha —

RADOMIN *(komicznie)*. Mtak. Lubię lud — w naturze. Mtak, mtak. *(oboje śmieją się)*. No, a co z nami się stanie. Nie można przecież być tak uporczywie niedostępną. Arystokracji należą się także pewne ustępstwa. Żeby te oczęta zapewniły mi, że będę nagrodzony — tom gotów pozostać w Borkach, choćby cały miesiąc. *(zabawnie)*. Jaszczureczko litości dla biednego księcia — *(składając ręce jak dzieciak)* litości dla biednego chłopczyka — — który bardzo — kocha —

LUDKA *(z założonemi w tył rękami, z palącym wzro-*

-
-
- kiem*). No księżę — śmiało bez odwagi — bliżej z daleka.
- RADOMIN. Muszę w palce pukać — (*uderza w palce*) raz — dwa — i trzy — a więc — a więc — (*podchodzi do niej*).
- LUDKA (*parska mu śmiechem w oczy*). Złapała się mucha na lep (*drwiąco*). Księżę myśli, że dość skinąć palcem a już zwycięstwo w rękach? Księżę podbił widać zawsze to, co już było podbite. Księżę wścickły na mnie? Hahaha. To dobre lekarstwo na zarozumiałość.
- RADOMIN (*zgryźliwie*). Tekst popularny zamienił się na tekst ewangeliczny?
- LUDKA. Nie tak bardzo, ale do księcia zastosowano umiejętnie bajeczkę o lisie i zielonych winogronach. Tak to ze mną bywa. Wczoraj *księżę* podobał mi się, a dziś na zabój kocham się w Orugu.
- RADOMIN. Ach, ach, jakże płakać będę nad cnotą podbitą przez Oruga.
- LUDKA — ze złości, że mitra nie była dostrzeżoną? Hahaha.
- RADOMIN (*bardzo wesoło, nieszczerze*). Mtak, mtak. Jaka to wielka prawda, że każda kobieta znajdzie swego — — Filona — — Adieux, adieux mademoiselle. Hahahahaha, hahahahaha —
- LUDKA (*bardzo wesoło*). Adieux — a proszę zapamiętać sobie bajeczkę o zielonych winogronach. Hahahahaha, hahahahaha —
- RADOMIN (*idzie w głąb deklamując*). Już księżyc wyszedł, psy się uśpiły i coś tam klaszcze za dworem — Mtak, mtak. Hahaha — pewnie mię czeka mój Fi-
-
-

lon miły — hahaha — pod umówionym jaworem. —
Hahaha — (*z głębi prawemu drzwiami wchodzi Katerla*).
Voila le monstre qui me vengera — hahaha, hahaha —
(*odchodzi w głąb, lewemi drzwiami*).

LUDKA (*wesoło*). Nauczycielu zgoda czy nie?

KATERLA. Przyszedłem żądać od pani wytłómaczenia.
Postąpiła pani jak żak. Ja i pani jesteśmy sobie równi.
Nie ścierpię w tym względzie żadnych przytyków.
Jak pani śmiała powiedzieć mi przy panie Maryi, że
ja wyzyskuję sytuację? jaką sytuację? może pani
powie mi teraz — jaką?

LUDKA. Hoho! hoho! ile złości! hoho! Nikomu nie tłumaczę się z moich słów a tem bardziej panu.

KATERLA. Dlaczego to »tembardziej«.

LUDKA. To jest mój panie odpowiedź na pańskie zachowanie się tu w moim domu.

KATERLA. Pani wiedziałaś, jakim jestem. Nie ja — pani prosiłaś o dawanie jej lekcyi. Kaprys czy nie kaprys — to mi rzecz obojętna. Przyjąłem, bo mnie prosił o to także Kajetan. *Dla niego* to zrobiłem, pani o tem wiesz.

LUDKA. Więc co, głośny panie?

KATERLA. To, że pani mi wytłómaczysz się lub jesteś podła!

LUDKA (*pieniąc się ze złości*). Precz mi z oczu! precz mi z oczu!

KATERLA. Pójdę, ale pani jeszcze raz powiem — podła (*chce odejść*).

LUDKA (*blada ze wściekłości*). Słuchaj pan. Powiem. Pan jesteś moim wrogiem. Nie wiem dla czego, ale pan wyzyskiwałeś sytuację. Pan dawałeś mi lekcye, poznawałeś moje słabe strony — po to — po to — żeby jemu, Kajetanowi, donosić o wszystkim, otwierać mu oczy, mnie poniżyć. *Pan* nas rozdzielisz, tak pan! za co? za co? Śmiesz pan powiedzieć za co? czym panu co złego zrobiła? za co? za co?

KATERLA. Pani wiesz, że wy *jego* wyzyskiwaliście. Dla pani Kajetan miał być parawanem flirtu, a w potrzebie mężem. Więcem ten parawan rozdarł i teraz znacie się.

LUDKA. Kto śmie mówić, że ja Kajetana nie kocham!

KATERLA (*drwiąco*). Czy to dziś dopiero?

LUDKA. Choćby dziś, choćby dziś.

KATERLA. Nie było tego w programie.

LUDKA. A panu co do tego?

KATERLA. Brałem rzeczy tak jak były. Pani wiedziałaś, że mam wpływ na Kajetana i tego wpływu się bałaś. Chciałaś mnie pani ugłaskać, podbić, może nawet rozkochać w sobie —

LUDKA. Tak jest, chciałam. Może pan podobałeś mi się, może nie, ale chciałam. Tych co milczkiem kąsają, trzeba kopnąć lub sobie zjednać.

KATERLA. Ja zawsze otwarcie postępowałem. Pani co do mnie nie mogłaś się łudzić. Jeśli pani przegrałaś stawkę, to będę rad bardzo. Pani nie dla niego! I jeśliby trzeba było rzucić całą duszę, rzucę ją, rzucę życie, aby was rozdzielić. On będzie wielkim, ale bez pani. Przy pani może tylko zmarnieć.

LUDKA. Tak?! Tak?! Na śmierć i życie?! Ty —!!
ty —!! nędzniku —!!

KATERLA. Nareszcie pani wiesz wszystko i ja wiem
wszystko. Tem lepiej dla niego. Zegnam. (*idzie*).

LUDKA (*gorączkowo*). Słuchaj pan jeszcze. Pan patrzy-
łeś w głąb mojej duszy. Ja tak głęboko nie patrzę,
ale widzę wszystko. (*zduszonym głosem*). Pan kocha
Maryę, tak?

KATERLA (*na którym to robi szalone wrażenie — za-
cina usta; chce protestować, nie może, cichym głosem*)
Ja —?

LUDKA (*stłumionym głosem*). Pan kocha. — Pan już
dzisiaj jest tylko jej cieniem. — Gotów pan dla niej
wszystko poświęcić. To panie — miłość się nazywa —

KATERLA (*opiera się silnie na poręczy krzesła, chce
mówić, milczy*).

LUDKA. Pan nie zdawał sobie z tego sprawy — ale
pan nie ma siły zaprzeczyć. — Hahaha hahaha —
To dobrze. — I jeszcze powiem coś panu. — Marya
kocha pana —

KATERLA (*zdlawionym głosem, robiąc ku niej krok
gwałtowny*). Niech pani natychmiast to odwoła.

LUDKA. Ona kocha bardzo. Pytaj pan — odpowie —
kocha bardzo.

KATERLA (*z bólem, jękiem*). Biedna — (*potem wyczer-
pany z sił, idzie w głąb*).

LUDKA. Jeszcze dwa słowa (*Katerla staje, odwraca się*)
Wyzyskałeś pan sytuację względem mnie — (*z całą
wściekłością, szeptem*) — postaraj się wyzyskać
w inny sposób względem *niej*. Marya jest — bo-
gata — i łatwa — —

KATERLA (*na razie nie może przemówić, potem ręce mu latają, straszliwym głosem*). Taka obelga —!!!
(*idzie ku niej z wyciągniętymi rękami*).

LUDKA. Jezus Marya!! (*cofa się*). Upamiętaj się pan!
Ja nie chciałam!!

KATERLA. Taka obelga!!! —

LUDKA. Jezus Marya!! (*biegnie pod gobelin, pada na kanapę, zasłania się stołem*). Upamiętaj się pan, Boże.

KATERLA (*obala stół, staje nad nią skuloną, drży, opanowuje się, potem straszliwym szeptem*). Jesteś kobietą — ja ci krzywdę — daruję. — Odejdę. — Możesz być spokojną. — Nie zobaczysz mnie więcej — pod tym dachem. — Jesteś kobietą. — Każę zaprządz. — (*przeciera czoło, potem podnosi stół, idzie na środek sali, namyśla się, ciężkim krokiem odchodzi w głąb lewymi drzwiami*).

LUDKA (*szeptem*). Boże, Boże — (*patrzy przerażona na drzwi, za którymi zniknął Katerla, potem idzie wolno ku klombowi*).

(*Z głębi prawych drzwi wchodzi Laura i Zenon*).

LAURA. Nieoceniony ten książę. Jaki subtelny i dociepny. Gdyby nie te wasze nieszczęśliwe interesy, zabawiłby u nas dłużej. A ja tak bardzo potrzebuję takiego towarzystwa (*siada z mężem pod gobelinem*).

(*Z ogrodu wchodzi Adam i Orug*).

LAURA (*do Zenona*). On — (*głośno*) Ludeczko, usiądź na chwilkę przy mnie.

ORUG (*idzie do Laury, całuje ją w rękę, Adam idzie za nim*).

LAURA. Bon jour monsieur. (*coś mówi do Ludki*).

ADAM (*bierze pod ramię Oruga, idzie z nim na lewą stronę, głośno*) Górą polityka kochany panie — ho ho!

(*Laura, Zenon, Ludka rozmawiają razem*).

ADAM (*zmieniając głos*). Pan nie ma się co ludzi. Wypowiedzą panu kapitały, a pan co? To nie może być. Widzi pan, drzę cały z oburzenia. Szelmstwo powiadam panu. Taki ksiązę Radomin to europejskie wybijokno. Wszystko dla niego zaściankowe. Nawet mojego Febusa nie puścił bez ironicznego spojrzenia. Ja nie dlatego. Broń Boże. Ale żeby pomóc.

ORUG. Tak?? beczelni — skończę z nimi — tem lepiej — ostrem żelaziwem rozdzierają mi oczy — haha — ludzie — życie — —

LUDKA. Papko wypłaci Katerli pensję za cały miesiąc z góry i to dziś jeszcze.

ZENON (*do Ludki*). Dobrze, dobrze, zabierz tylko stryja ze sobą.

ADAM (*głośno do Oruga*). Tak, tak, polityka górą, powiedział jeden z filozofów.

ZENON (*do żony, wściekły*). Bałwan! muszę mu raz wypłacić dzierżawę.

LUDKA (*do Adama*). Wie co stryjaszek? W ostatnim numerze Sportu są ciekawe wiadomości z ostatnich wyścigów paryskich. Amerykanie robią furorę.

ADAM. Co ty mówisz? Masz zeszyt?

LUDKA. Jeśli stryj życzy sobie, to proszę za mną — (*odchodzi w głąb drzwiami prawymi, za nią Adam*).

ZENON. I cóż panie Kajetanie? Borki jak zawsze podobają się panu? proszę usiąść przy nas. Dawnośmy nie gwarzyli ze sobą. (*Orug siada przy nich*).

ZENON. Tak to czas leci. Ani człowiek spostrzeże się, co kiedy się stało. Lecz cóż pan porabiał ostatnimi czasy?

ORUG (*zimno z ukrytą ironią*). Polowałem na kuropatwy.

ZENON. Aha tak. Z tem bardzo do twarzy młodym ludziom. No i co więcej pan powie nam o sobie?

ORUG. Zaprenumerowałem »Czas«.

ZENON. A — to się panu chwali. Spinoza był zawsze za gazetami. Lektura na wsi konieczna. Ma pan jakie plany?

ORUG. Tak, będę fotografował.

ZENON. A — z amatorstwa. Słyszysz Lorciu? Książę Radomin jest także amatorem.

LAURA (*lornetuje Oruga, z niedowierzaniem*). Pan będzie także amatorem?

ZENON. Właśnie Celinko. To piękny sport. Ale tak po za tem?

ORUG. To i tak dużo.

ZENON. A wie pan, że Kazio Kałuski żeni się? Właśnie pan Borsuk przywiózł nam tę wiadomość. (*do Laury*). Jak sądzisz Lorciu, czy Kazio będzie szczęśliwy ze Sińską?

LAURA. Mon cher. Ona i *on* to bądź co bądź arystokraci rodowi.

ZENON. No tak, tak. (*milczenie*). Panie Kajetanie — hm. To jest — ja właściwie mógłbym nie podejmować tego przedmiotu. Mais plus au moins trzebaby

o tem pomówić. — Pan zakochał się w Ludce. Pan oświadczył się przed kilku laty i potem coś dwukrotnie. Hm, hm. Pan pewnie czuł tę całą drażliwą stronę owych starań. Ale —

ORUG (*zimno*). Zdaje mi się, że ta sprawa całkiem załatwiona.

ZENON. No nie, nie. Względy rodowe musiały ustąpić wobec osobistych zalet pańskich. Trzeba nieraz stać wyżej od tradycji.

LAURA. Mon cher. Można o niej zapomnieć, ale nigdy stać wyżej.

ZENON. Właśnie tak, tak, choć i nie tak. Dość, że pan zwyciężył. Powiem panu wprost, że — — jeżeli pan chce zrobić jaki krok stanowczy, to teraz czas. Książę Radomin ma zamiar oświadczyć się o rękę Ludki. Uprzedzam pana o tem, bo Ludka musi wybierać. No wie pan, oświadczyzny pańskie będą tylko formalnością dla okolicy. Rzecz właściwie tyczy się ślubu.

ORUG (*zimno*). Przykro mi ale zaszła pomyłka. Nie mam zamiaru prosić o rękę panny Ludwiki. (*milczenie*).

(*Zenon i Laura zdumieni, zamieniają ze sobą spojrzenia*).

ZENON. Pan nas nie zrozumiał. Bo my — prawda Lorciu, nie oglądamy się na tradycję. Właśnie że my nie.

ORUG. Wytłumaczę rzecz jasno. Rozmyśliłem się i odstąpiłem stanowczo od moich pierwotnych zamiarów.

Panna Ludwika jest najzupełniej wolna —

ZENON (*zmieszany, nie wie, co robić*).

LAURA (*wstaje, dumnie*). Dobrze pan zrobił, że pan sam zrozumiał całą niewłaściwość podobnego związku. Na przyszłość uwolni nas pan również od niewłaściwych odwiedzin. (*do męża*). Mon cher — (*gestem prosigo, aby z nią wyszedł. Odchodzi w głąb prawem drzwi*).

ZENON. Dobrze Lorciu — tylko kilka słów — z tym panem. (*do Oruga, który wstał i chciał wyjść, kłaniając się*). Pan się zatrzyma. Kilka słów. Hm, hm — hm, hm. — Niech pan siada, proszę. (*Orug siada*). Hm. Widzi pan. Każdemu wolno robić, co mu się podoba. Tylko, jakby powiedzieć, moralna strona tej kwestyi przedstawia się inaczej. Pan jest młodym człowiekiem. Pan nie docenia własnej sytuacji. Ale tu chodzi o honor pański.

ORUG. Panie — nie pora dziś *tak* do mnie mówić. Ani nie ugnę się pod zarzutem niehonorowości, ani nie myślę tego rozważać.

ZENON. Panie Kajetanie. Śp. ojciec pański —

ORUG. Proszę pana — czczę pamięć mojego ojca i tembardziej proszę, aby pan nie zasłaniał się jego imieniem. Pan żądasz, abym ożenił się z panną Ludwiką, tak?

ZENON. Tak panie. Tylko *to* panu pozostaje. Nic pana nie może tłómaczyć.

ORUG. Nie próbuj pan mnie z tej strony. Bobym musiał przypomnieć sobie, żeście wydawali za mojemu plecami po tysiąc razy swoją córkę. Dziś mam ją wziąć za żonę w spadku po tylu niedoszłych konkurentach? A zresztą teraz już nie, nie i nie. Może mi się we łbie przewróciło ale nie. Jak pomyślę, że

to mogło się stać, mam ból w ustach, w skroniach — w oczach. — Kochałem — tak — ale to długie kochanie było wyszarpywaniem nerwów, pojęć, wyszarpywaniem tego wszystkiego, z czego to ja, ja moje się składało.

ZENON. Moja córka —

ORUG. O nie — nie pańska córka. Pańska córka niewinna! Pańska córka to sobie przeciętna panna na wydaniu. Ale to ta okropna nauka — cierpienie — wątpienie —! porównywanie! i znowu wątpienie —! Z dnia na dzień, z dnia na dzień. Oo — to, że tam skomlałem czasem w perypetyach romansu — to nic. Ale silniejsze było to, co mi burzyło tu duszę *mocą widzenia*. Narodziłem się panie po raz drugi, tak, tak. Coś przyszło, jak pożar, jak wichur — i zdmuchło oskomę małżeńską i niby to coś, co nazywa się duszą. — Jestem widzi pan jak żywe krwawe mięso bez skóry — bez skóry panie — wszystko boli — wszystko boli — nie ma nic zdrowego we mnie — boli panie — boli. — No, a tak trudno przecież się żenić. — Haha — haha! Cóż by to był ze mnie za mąż dla pańskiej córki?

ZENON (*wstając, z wielką butą*). Nie zapominaj pan do kogo mówisz! Jesteś w domu, w którym żyje wiekowa przeszłość! Uszanuj ten próg! Uszanuj prochy panów tego domu! Bacz, aby te wizerunki zmarłych rycerzy, nie patrzyły na ciebie jako na intruza!

ORUG. Hołd gotówem złożyć ich przeszłości, jeśli była wielką — ale nigdy — panu!

ZENON (*zmieniając ton*). Panie Kajetanie — ja wierzę, że to chwilowe zapomnienie minie. Pan zrozumiesz

to, że jeśli Ludka dotychczas nie wyszła za mąż, to tylko przez pana. Pan stałeś tak blisko niej, że prosto nikt nie śmiał się do niej zbliżyć. Pańskie nazwisko zrosło się z jej imieniem. Dziś też nikt nie może zostać jej mężem prócz pana.

ORUG. Jakie to wstrętne, jakie to wstrętne. — Dość o tem, dość — (*przeciera czoło, potem nagle gorączkowo*). A gdybym był biednym — mówię — całkiem biednym — wydalibyście za mnie swoją córkę — Odpowiedz pan — wydalibyście?

ZENON. Co za pytanie? Czyż biedny człowiek śmiałyby ofiarować naszej córce swoją rękę? czyż mógłby otoczyć ją komfortem? co za pytanie!

ORUG (*nerwowo*). Haha — haha. — Nie mógłby, nie mógłby — i nie zepsułby losu waszej córce — haha — nie mógłby — (*zastanawia się mocno*). Biedny — nie mógłby —! Jaka to prawda wielka — i jakie to wstrętne — Oo!

ZENON (*serdecznie*). Panie Kajetanie. Ja nie wiem, co zaszło między wami. Coś musiało zajść. Pójdę do Ludki. Pomówię z nią. Załatwcie to między sobą. Ja nie chcę się wtrącać między was dwoje. No, no, panie Kajetanie — proszę być dobrej myśli — (*odchodzi w głąb prawemi drzwiami*),

ORUG (*ściskając głowę rękami, chodzi po sali*). Jakie to wstrętne — jakie to wstrętne — jakie to wstrętne.

(*Z ogrodu wchodzi gwałtownie Katerla*).

KATERLA (*zacięty, chmurny*). Kazałem zaprząć konie.

Wyjeżdżam. Nie będę miał z nią więcej lekcyj. Szukałem cię. Teraz już wiesz. Zostajesz?

ORUG, Tak, ze siostrą. Czy to z powodu mnie?

KATERLA. Tak i nie. Ot podła. Do widzenia Kajetanie.

(podaje mu rękę).

ORUG. Poczekaj niech myśli zbiorę. Tyle mam spraw na głowie (*siada*). To mię zaczyna zajmować. Chciałbym być odpowiedzialnym za siebie. Wiedzieć co drudzy robią i co ja mam robić.

KATERLA. Chcesz chorować na niemoc duszy?

ORUG. Czy my wiemy co jest nią, a co nią nie jest?

KATERLA. Kajetanie — nie poddawaj się zniewieściałości. Nie hypnotyzuj siebie słowami »wiem lub nie wiem«. To działa jak narkotyk. Teraz jeszcze to mówisz, potem zaczniesz w to wierzyć, a potem będziesz musiał wierzyć. Otrząś się póki czas. Nie daj życiu giąć siebie, ale ty życie naginaj.

ORUG. Aby jeszcze bardziej zabrudzić sobie ręce i oczy?

KATERLA. Dziwak jesteś. Mogłeś już raz na zawsze wybić sobie z głowy to, że życie jest jakimś idealnym dobrem i prawdą — kiedy ono jest tylko ziemią uprawioną nawozem, na której my siejemy — my sami — ale nie ono, owo abstrakcyjne pojęcie życia.

ORUG. — Siejcie. — Ja dotychczas ocieram się tylko o brud. Mam go pełne usta i paznogie. Grzebcie w nim. Widocznie macie zaprawione natury. — Ja wolę nie siać i nie zbierać, byle móc odgrodzić siebie od tej cynicznej prawdy życia. Grzebcie w nim.

Macie zdezynfekowaną skórę. Na mojej te miazmaty brudu rozpleniają się i pieką.

KATERLA. Ha -- cierp. Najdelikatniejsze ręce najprędzej grubieją od motyki. Przypomnę ci kiedyś własne twoje słowa. Uśmiechniesz się z politowaniem.

ORUG. Jeśli tak będzie, będzie to tylko niezmienna konieczność, a jeśli będzie inaczej, będzie to także niezmienna konieczność.

KATERLA (*siada przy nim, na przemian to gwałtownie, to łagodnie*). Kiedy ty raz uwierzysz w to, że Ludka nie dla ciebie? W tej twojej głupiej apatyi nie zdobędziesz się ani na iskrę dumy męskiej?! Ja ciebie tak nie puszczę! Ty siebie zatracasz z każdą nową godziną! (*bierze go za ręce, wstrząsa nim*). Kajetanie -- ! nie myśl nic. -- *Mnie* słuchaj, mnie słuchaj -- musisz mnie słuchać! żądam tego od ciebie! Kajetanie, żądam!

ORUG. Puść.

KATERLA. Usłuchaj mnie!

ORUG. Puść -- (*z goryczą*). Kazali mi inni także ufać sobie. Będzie to, co musi być. A ja przynajmniej nie będę manekinem.

KATERLA (*gwałtownie gestykulując*). Tobie nie wolno tak mówić. Każdy może, ty nie. Masz majątek, masz głowę, talent. Tobie nie wolno podleć dla głupiej dziewczki!

ORUG (*wstaje, cedząc słowa*). Majątek mam -- tak -- (*wlepia w niego oczy*) -- robi mi przyjaciół -- przywiązuje do mnie tych, co mnie mało kochają i tych, co mówią, że mnie bardzo kochają. Majątek mam -- i on mi tak urządził życie -- hahaha.

KATERLA. Zastanów się --

ORUG. Równie dobrze i ja ci mówię -- zastanów się. -- Żali wszystko to, co robisz, jest tak czystem jak chcesz, aby było.

KATERLA. Jakto? mów jasno!

(milczenie — patrzą na siebie).

ORUG. I ty także należysz do owego *życia*. Niezłomne masz ideały, ale należysz do owego życia. Ja wolę zostać po za wami -- po za życiem. Chciej to zrozumieć -- i chciej to także wiedzieć -- że każdy ma jakieś swoje własne myśli -- jakiś własny pogląd -- a jeśli go nie ma -- to i to także jest własnym stanem jego duszy -- i nikt mu nie może narzucić innego --

KATERLA. Kajetanie, nie tędy do mnie droga. Ty nie jesteś ze mną szczery. Ty masz coś na łożądku. Ale nie tędy do mnie droga. Ostrzegam cię.

ORUG. Dziękuję ci za to *przyjazne* oświadczenie. Będzie ono odtąd wykładnikiem naszej znajomości.

(wchodzi Zenon i Ludka z głębi prawem drzwi).

ZENON. A! pan Katerla -- to i dobrze. Pańskie lekcye skończyły się. Proszę pana *(wyjmuje kopertę)*. To dla pana -- wynagrodzenie za trud dotychczasowy.

(podaje mu kopertę).

KATERLA. Schowaj to pan!!!

ZENON (*z afektacją*). »Wydajność pracy równa się wydajności rudy złotej« — powiedział Spencer.

KATERLA. Tak, tak powiedział Spencer, ale dodał to także, »nie łgaj, skoro mnie nie czytałeś«!!

ZENON (*szły*). Co? co? (*potem drwiąco*). A, oto idzie! Rozumie się i odszkodowanie za cały miesiąc naprzód. Nie umawialiśmy się o honorarium, sądzę jednak, że będzie wystarczające.

KATERLA (*z niesłychaną gwałtownością*). Schowaj to pan, albo ci wgniotę w gardło te pieniądze!! Podli! podli! Com zrobił, to dla niego!! Wy wszystko chcecie pieniędzmi płacić! Zapłaćcie mi także za jego ból! za jego rozpacz! zapłaćcie mi za tę chorą duszę! — no! zapłaćcie! zapłaćcie! podli! podli! pluję na was! podli!! (*wypada w głąb lewymi drzwiami*).

ZENON. Chłop — gbur — a to dopiero. Co mu się stało? A to miła wizyta. Odjechał pewnie. Ale mamy też na co zwracać uwagę. No panie Kajetanie — jesteśmy. Byłem przyjacielem nieboszczyka ojca pana — jestem także przyjacielem, niemal ojcem twoim. Ufam panu. No moje dzieci — bądźcie grzeczne. Au revoir. (*odchodzi w głąb lewymi drzwiami*). A to grubijannin — nono — nono.

ORUG (*siada zmęczony, chmurny przy kwiatach*).

LUDKA (*staje przed nim*). Papa jest chwilami nieznośny. Po co ty mówisz z ojcem o naszych sprawach? My możemy się rozejść lub pobrać, ale co moim rodzicom do tego? Ja raz na zawsze wypraszam sobie

wszelkie utarczki o mnie z kimkolwiek bądź (*siada przy nim*). Za co ty się na mnie mścisz? Chcesz mnie doprowadzić do ostateczności?

ORUG (*zdenerwowany*). Może — może.

LUDKA (*zrywa się*). O! to nazywa się odpowiedź! postępujesz ze mną jak z psem! jesteś przewrotny! bez wychowania. (*spokojnie*). Zamiast ze mną pomówić serdecznie, tylko mnie złościsz (*siada tuż przy nim*). Kajeczku bądź dla mnie dobry. Ja potrzebuję teraz tego więcej niż dawniej. Mogłam być zła dla ciebie, ale byłam zawsze otwarta. Widzisz, ze mną tak. Jak wiem, że np. ta poręcz jest lodowata, to nic sobie z tego nie robię — ale jak nabiorę przekonania, że jest gorąca -- to przyjdę, dotknę się i poparzę.

ORUG (*ironicznie*). Szkoda, że o tem wcześniej nie wiedziałem.

LUDKA. Ale teraz wiesz i grasz mi na nerwach. Lecz radzę ci, nie przeciągaj struny. Ja mogę wiele przecierpieć. Ale jak raz mnie stracisz, to mnie już nie odzyskasz.

ORUG. Nie myślę o tem.

LUDKA. Cicho bądź! Także jakieś głupstwa czepiają ci się głowy (*siada w głębi fotelu, opiera głowę o tylną poręcz, z rozmarzeniem*). Ach — jakby to było dobrze, żebym teraz zakochała się w tobie na śmierć i życie. Szłabym za tobą, jak niewolnica. Byłbyś panem moim. Jakby to było dobrze. Co roku wyjeżdżalibyśmy za granicę. Otwieralibyśmy salony w Paryżu lub Rzymie. Byłbyś dumny ze mnie. Mówię ci. — Podbiłabym i zjednałabym sobie wszystkich --

ORUG. Bańki mydlane.

LUDKA (*zła*). Ty myślisz, żebym nie umiała być królową? Pamiętaj o tem, że ja nie skończę nigdy na małej roli w świecie. Ja *muszę* odegrać wielką. Ja wiem, że to jest w mojej mocy. — Gdybyś był poczciwy, tobyś się cieszył z moich marzeń. Dałbyś mi środki po temu. I ty mi je dasz, prawda Kajeczku (*zarzuca mu ręce na szyję*). Mój złoty. Ty mi je dasz. Co życie warte, jeśli nie można oślnić świata, błyszczeć, błyszczeć. Ach, jak ja pragnę z całej duszy błyszczeć — jak to słońce sierpniowe. Kajeczku, tak musi być, prawda? Powiedz, że tak. Ja cię kocham. Ja cię kocham teraz na prawdę! Weź mnie! weź mnie! (*całuje jego włosy*).

ORUG (*uwalnia się od jej uścisków*). Nie zapominaj, że ci obcy.

LUDKA. Kłamiesz. Jesteś moim! Mówiłeś mi to po tysiąc razy, przysięgałeś!

ORUG. Masz odwagę żądać odemnie dziś tego, czego dawniej nie uznawałaś?

LUDKA. Wszystko mi jedno, co było. Teraz jest inaczej. Ja nie dam wydzierać sobie złudzeń, które mi się należą. Może to szaleństwo, ale takie dobre jak wszystko inne (*zrywa się*).

ORUG. Czy to po naradzie z papą?

LUDKA. Milcz! mierzysz mnie takim łokciem jak każdą przeciętną dziewczynę. Żeby mi ojciec kazał, nigdy! Może być, że on ma w tem swoje wyrachowanie, ale co *mnie* do tego. Ja to wiem, że teraz ciebie nie dam sobie nikomu wydrzeć. Ani Katerli, ani Maryi, ani księciu, ani całemu światu. Może to kaprys, chwila — ale nie dam!

ORUG (*wstaje*). Tobie się zdaje, że dość powiedzieć »kocham«, lub usłyszeć to słowo, aby mu uledez. Wiedz, że czasem taka pustka jest w czyjejs piersi i takie głębie bezgraniczne w niej się otwierają, że to słowo »kocham« nie mówi nic, albo dźwięczy fałszywie — — —

LUDKA (*pada z płaczem na krzesło*). Jakiś ty okropny — jakiś ty okropny!

ORUG (*słumionym głosem, mocnym*). Nie łudź się ani chwilę. Ja po raz ostatni przestąpiłem próg tego domu. Między mną a tobą nie ma już nic. Każdy twój nowy wysiłek jeszcze bardziej obdziera mi ciebie z uroku. Nie uwierzę ci. Choćbym chciał — nie mogę.

LUDKA To bajka, że mnie nie kochasz! Ty się nią mamisz! Ty, ty, nie ja! Mamisz się, aby mnie katować. Tyś mój!

ORUG. Hahahaha, jak gdyby człowiek był tylko instynktem! O! ale czasem dzieje się na opak. — Czasem ten ktoś przestaje żyć na powierzchni życia — i jak nurek zapada w głębie. Mówi się o nim — zginął — szalony — czarna melancholia. Bać się trzeba takich ludzi — o bać się! zwłaszcza panny bać się powinny. Bo taki nurek zapomina, że to jest rzeczą wielce rycerską być Don Juanem — potyka się o bryły złota, a myśli że to podły krzemień — woli barłóg od tryumfalnego wozu! — i to wszystko dlatego, aby wyłowić na dnie bytu coś — co się nazywa zatopionym okrętem — kopalnianym mamutem, albo — albo — śmieszna nazwa — zrównaniem algebraicznym życia! — Hahaha, Hahaha! — Chce wyłowić zrównania algebraiczne życia! Ktoś tam kie-

dyś wbił mu kolec kaktusowy w duszę no i — bolało — bolało — aże w tym bólu pomieszały się i porozpadały całe światy myśli i wyrodziło się dzikie zamiłowanie do gruntowania — wody! Hahahaha! Czarna melancholia — zawiedziona miłość — bzik — niby nasz swojski bzik — vulgaris asinada (*idzie w głąb*).

LUDKA. Kajetanie! — *Tak* chcesz odejść odemnie? Kajetanie!! —

ORUG. A, dziwisz się, że włosów garściami nie wyrzucam? — ani że z łez nie powstała kałuża? Tak bywało, bywało! Ale teraz zaczynam żyć odwrotnie — więc też wszystko musi się dziać odwrotnie. Odwrotne życie! Czy wiesz co to jest owo odwrotne życie? na drugiej półkuli świata ludzie chodzą w stosunku do nas do góry nogami. — Podobnie ja poczynam chodzić do góry nogami na drugiej półkuli ducha. — Hahaha — hahaha — żegnaj — (*wychodzi*).

LUDKA. Zostań! to bajka! ty mnie kochasz!! zostań! zostań! to bajka!! Kajetanie!!!

(*Otworzywszy drzwi patrzy za nim z rozpaczą*).

1870

1871

1872

1873

1874

1875

1876

1877

1878

1879

1880

1881

Gabinet we dworze Oruga. Posadzka zastana czerwonym sukнем. Po prawej stronie olbrzymie okno. — W głębi wpośrodku ściany — wysokie, białe drzwi, takie same z lewej strony. Pokój w tonie ciemnym. Z lewej strony bliżej widzów biurko zastane papierami — przed biurkiem stół zastany zielonym sukнем, dookoła krzesła. Pod oknem fotel i mały stolik. W głębi po obu stronach szafy zamknięte z aktami i księgami. Godzina popołudniowa.

HELENA ZALESKA (*czerstwa staruszka z okularami w złotej oprawie na oczach, czarno ubrana, siedzi z boku biurka*).

KATERLA (*przegląda papiery*).

ZALESKA. Pan więcej martwi się odemnie. A przecież Kajetan to moje prawe oczko. Widziałam ja wiele złego na świecie, ale zawsze powiem, że ludzie przesadzają. (*z uśmiechem*). Po co się martwić? Położę panu wieczorem kabałę i jakoś to będzie co nieco.

KATERLA. I wierzyć trudno, jak ciężko na duszy.

ZALESKA. Pst, pst, uparciuchu, bo za uszko pociągnę i wsadzę do karceru. Taki duży, a taka zła mucha. (*grozi mu palcem*). Kabała wyda wszystkie sekrety. Wyjdzie znowu tasama panna — aha.

KATERLA. Czy Kajetanowi także?

ZALESKA. A pewnie że Ludka.

KATERLA. A jak ożeni się z inną?

ZALESKA. To także powiem, że tasama panna. Hahaha — a z ich wesela to już pojedziemy wprost na pana wesele.

KATERLA. Nie mnie myśleć o tem. Ot będę dalej ludziom otwierał oczy, pobudzał do czynu. Zato tamten kopnie, ten da pod żebro. To i dola.

ZALESKA (*pogodnie*). Szukaj pan, ale szukaj dobrze. Jest dla pana jakaś. Śmierć i żona od Boga przeznaczona. Ale rzadka to żona dla pana, o rzadka. (*potem*). Jakże u Sobickich?

KATERLA. Nie wiem nic. Kajetan jest skryty, unika mnie. Dotychczas miałem wpływ na niego. Teraz ten wpływ tracę.

(*ktos puka w lewe drzwi*).

ZALESKA. Proszę.

(wchodzi Marya).

MARYA. Ciotuchna tutaj *(całuje ją w głowę)*. Myślałam, że razem z Kajetanem.

ZALESKA. Co Maniuto?

MARYA. Chciałam właśnie poradzić się ciotuchny, w których pokojach urządzić sypialnie.

ZALESKA. Ilu panów będzie u nas nocowało?

MARYA. Czterech, może sześciu.

ZALESKA. Przyjechali już?

MARYA. Tak, brakuje tylko pana Zenona. Ale ten pewnie nie będzie nocował.

ZALESKA. Zostaw to już na mojej głowie. Siadaj kotku.

MARYA. Ale bo cioteczka ma tyle zajęcia.

ZALESKA. Dam sobie radę. O, ty także nie próżnujesz.

Na wsi podobno chłopci szczepią co się tylko da, wiklinę, pietruszkę, świerzbilapę — co nieco — prawda? *(głaszcze ją jednym palcem pod brodę)*.

MARYA *(całuje ją w rękę, wesoło)*. A tak, a tak. Za to za lat kilka wieś będzie miała śliczne sady. Rozdałam dzisiaj 300 szczepków a kilkaset sami zakupili.

ZALESKA. A planów masz już pewnie tysiąc nowych — co? Ty Kajetanku w sukience? *(przyciska ją do siebie)*.

MARYA. Nigdy ich nie braknie.

KATERLA *(smutnie)*. Oby tylko panią nie zraziły przykrości. Trzeba mieć dużo serca i patrzeć daleko w przyszłość, aby wytrwać.

MARYA. Pan Stefan nie zawiedzie się na mnie, prawda ciotuchno?

ZALESKA. O! Maniuta to kozioł uparty. Hoho! niby to gładkie i słodkie, ale jak co, to prędzej dołek wysiedzi w ziemi, niż wstanie. Hoho! Takie to nasze, dobre ptaszę. Na takie zło idzie jak grad, ale i odpada jak grad od dachu. Szczęśliwy, kto cię weźmie Maniuto.

MARYA. Mnie nikt ciotucho.

ZALESKA. Abo to prawda głuptasku? *(do Katerli)*

A pan co powiedział?

KATERLA. Nic proszę pani.

ZALESKA. Ale pan coś pomyślał. Mów pan zaraz co nieco.

KATERLA *(z wahaniem)*. To samo pomyślałem, co pani powiedziała — — —

MARYA *(rozpromieniona)*.

ZALESKA. No popatrz pan! powiedziała coś stara baba, to ten darmożjad nic. Powtórzył to samo młody człowiek, to aż zarumieniła się z radości. I bądź tu ciotką!

MARYA *(patrząc w oczy Katerli, trochę zmieszana)*. Cioteczka robi mi wymówkę za to, co jest — takie — naturalne — — —

(wchodzi z głębi Orug).

ZALESKA. Dobrze popołudnie Kajeczku. Jeszcześmy nawet nie witali się dzisiaj ze sobą.

ORUG *(twarz mu się rozjaśnia, całuje ją serdecznie w rękę i twarz)*. Ukochany gość w moim gabinecie?

ZALESKA. Ano będę wam przydywała na posiedzeniu

spółki. Złożę wam sprawozdanie o zakiszzonych ogórkach — albo o macierzance — co nieco — hahaha!

ORUG (*do Katerli, wskazując w głąb*). Proszę cię. Idź i zastąp mię. Ci panowie nudzą mię śmiertelnie.

KATERLA. Dobrze (*odchodzi w głąb*).

ORUG (*chodzi nerwowo po sali, staje przed Maryą*). Czy mówił co z tobą Katerla o — swoich zamiarach, albo czems podobnem?

MARYA. Nie.

ORUG. Co ty myślisz o nim?

MARYA. Znasz go lepiej odemnie.

ORUG (*rozdrażniony*). Nie znam go!

MARYA. Co tobie się stało Kajeczku? Jesteś taki szorstki dla niego — —

ORUG (*gwaltownie*). A jestem — a jestem —

MARYA. Tak bardzo jest przywiązany do ciebie —

ORUG (*przez zęby*). Mówisz, że do mnie? — do mnie?!
hahaha! (*chodzi nerwowo*).

MARYA (*całuje Zaleską w głowę*). Pójdę urządzić pokoje sypialne.

ZALESKA. Ależ ja!

MARYA. Cioteczko, ja. Nie będę przynajmniej miała czasu być — — smutną (*odchodzi na lewo*).

ORUG. Nie było do mnie telegramu?

ZALESKA. Nie. Czy tak co pilnego?

ORUG. Tak. *Kazałem sprzedać moje dobra.*

ZALESKA. Kajeczku —

ORUG. Potrzeba mi wielkiej gotówki. Tych tam muszę zgnębić. A telegramu jak nie ma, tak nie ma. Wszystko przeciwko mnie. Wszędzie ktoś i coś czepia mię za ramię i dręczy. *(po chwili)* Ciotko! ja mam dość tego. Ja *raz muszę skończyć z tem życiem okropnem.* Mam go już póty. Przelewa mi się przez gardło — krztuszę się *(podchodzi do niej)*. Ciotko — przyszła na mnie chwila, jaka chyba raz musi przyjść na każdego człowieka przed śmiercią. Mnie jest źle — tak strasznie źle, żem gotów paść tu na ziemię jak kłoda i nie powstać — nie powstać — O, nie powstać — nie dać się przebudzić — — — !

ZALESKA *(cichym głosem)*. Tak, tak. Im większym człowiek, tem większe jego walki. Ty nie kryłeś się przedemną. Znam cię Kajetanie. O ty musisz jeszcze wiele przecierpieć. Kto wyżej sięga, ten rani sobie palce ostrzejszymi cierniami.

ORUG. Gorzej ze mną! Jestem ruiną i nic więcej. Nie mam o co zaczepić myślą. Na stromych zboczach wbijają w górach kłamry, aby ludzie mogli się wspinać. Ja dostałem się między prostopadłe skały jak w studnię i nie widzę żadnej takiej kłamry. Trzeba zginąć —

ZALESKA. Czas wszystko leczy mój drogi. To wielki lekarz.

ORUG. Byle móc skończyć z nimi — nie mieć nic, nic — nie mieć majątku, nie mieć nazwiska — i tak móc uciec od nich — od nich wszystkich — od tego brudu,

małostkowości, interesu — i zostać tylko człowiekiem — — —

(wchodzi z lewej strony Zenon Sobicki, za nim Ludka).

ZENON. Otóż i pan Kajetan *(idzie do niego)*. Spóźniłem się trochę na posiedzenie, ale to przez Ludkę.

ORUG *(wita się z nim oziębło)*.

ZENON. I kochana pani także! zdrowa! co za szczęście! *(wita się z Zaleską)*.

LUDKA *(kłania się Orugowi, potem całuje po rękach Zaleską)*. Pani zdrowa! jak ja się trapiłam! Ktoś nam doniósł, że pani zasłabła. Nie mogłam wysiedzieć w domu. Przyjechałam z papą, chociaż się opierał.

ZALESKA. A to ktoś złośliwy, no, no.

ZENON. Widzisz Ludeczko? nie mówiłem? *(do Oruga)* Sąsiedzi zjechali się?

ORUG. Tak. Czekaliśmy na pana. Są w tamtej sali.

ZENON. A to doskonale. Muszę się iść przywitać. Przepraszam, przepraszam *(odchodzi w głąb)*.

ZALESKA. A ja do gospodarstwa, póki jestem zdrowa co nieco *(śmiejąc się cicho, odchodzi na lewo)*.

LUDKA. Przyjechałam, bo chciałam się widzieć z tobą.

Dlaczego nie byłeś u nas ani wczoraj ani przedwczoraj?

ORUG. Nie mam nic pani do powiedzenia.

LUDKA. Kajetanie! jak ty mówisz? Czego ty chcesz

odemnie. Chwilami odchodzę od pamięci. Jak zacznę zaciekać się w myślach, skąd w tobie taka zmiana, miesza mi się w głowie. Godzinami całemi latam po pokoju. Ja już o czem innem nie myślę, tylko o tobie. Tyś straszny człowiek. Kajetanie. Ja mam także coś dumy w sobie, mam także wolę, mam dziką wolę. Ty nie widzisz chyba, że ja przechodzę samą siebie, że mówię do ciebie, jak nigdybym nie mówiła. Ty nie graj dalej tej komedyi czy tragedyi, bo ja tracę świadomość, co to jest i czuję tylko, że to coś wciąga mię w swoje szalone koła i ja idę i biegnę — i nie wiem gdzie i po co, tylko biegnę —

ORUG. Niech tak będzie. Kiedyś *ja* byłem na brzegu tego koła, pani byłaś w środku. Tłukłem się, szalałem. Teraz pani jesteś na brzegu koła, a wyobraźnia pani w środku. Kręć się koło szalone! Nie wstrzymam cię ani jednym słowem!

LUDKA. Kajetanie! upamiętaj się! To zbrodnia przeciw samemu sobie. Idę ci w ręce. Widzisz przecież, że całą duszą lgnę do ciebie!

ORUG. Pani — to wielkie słowo, które mówisz. Ja tak mały jestem, że nie mam w mojej duszy dość dostatniej izby, aby je przyjąć i ugościć.

LUDKA. Nie baw się w poezję. Ja się w nią nie bawię. Mówię tak, jak muszę.

ORUG. Zatem wiesz pani wszystko.

LUDKA. Słuchaj Kajetanie! Ty mnie nie znasz jeszcze. Ty byłeś moim jak ten palec u ręki. Giąłeś się na moje skinienie. Bawiłam się tobą. Kiedy on przyszedł, ten podły Katerla, poznał, że ma we mnie wroga, że nie pozwolę na to, aby poślubił Maniutę — więc

szczuł ciebie jak charta. Przełał w ciebie coś ze swojej chamskiej duszy, tę wściekłą zaciętość. Odsunąłeś się odemnie — ty palec u mojej ręki — odemnie. Ale ja nie pozwolę, aby ten chłop tryumfował. Żądaj czego chcesz, jakiego chcesz upokorzenia — wszystko zrobię, aby cię przekonać, że cię kocham do szaleństwa!!! Ale na miły Bóg nie dopuszczę, aby Katerla śmiał się ze mnie na całe gardło!! nie dopuszczę!!

ORUG. To *pani* sposób patrzenia na rzeczy. Dla mnie to wszystko takie, takie zero! Jestem tak daleki od tego głupstwa życia, które pani nazywasz Kochaniem, tryumfem, dumą, że dziwię się, jak mogłem tak długo tego głupstwa nie widzieć. Tak pani. Dobre Kochanie dla tych, którzy wiedzą, co to jest *życie*, co to jest *czyn*, co to jest *być*. Lecz kto dał głowę pod miecz wiekuistych pytań i drży i ślepy jest i gorzeje — w jednej nawet komórce włosów nie ma miejsca na szamotania miłosne. To tak bardzo do *życia* należy.

LUDKA. Boże! Ty naprawdę zwątpiłeś w moją miłość! Jaki ja mam ci dać dowód?! na co przysiędz, że Kocham, Kocham — Kocham!!

ORUG. Nie szukaj go pani. Ani dbam o dowody. Jestem tak ubogi na duchu i od dziś dnia tak bardzo ubogi w złoto, że nikt mnie już nie będzie brał jako cyfrę w swoich obliczeniach lub przywiązywał się do mnie jako do widoku na interes.

LUDKA. Jakto?! Kajetanie? zbankrutowałeś?!

ORUG. Nie, ale nie mam majątku. *Zrzekam się go dobrowolnie*. Będziecie mniej mię kochali.

LUDKA. Co? Co? Szalony nie zrobisz tego! Kajetanie!
ja ci zabraniam!!

ORUG. Dość pani! pomiędzy mną a tobą stanęło sto
pytań, stanął ból mocny jak śmierć. — Nie prze-
dzieraj się przezeń, jeśli nie chcesz być śmieszną.

LUDKA. Boże!! Boże!! *(wybuchu płaczem)*.

ORUG. A teraz zaczynam posiedzenie. To będzie także
jeden z moich porachunków z życiem *(dzwoni)*.

LUDKA *(przestaje łkać)*.

(wchodzi z głębi lokaj).

ORUG. Proś panów na posiedzenie *(lokaj odchodzi)*.

LUDKA. Jesteś nieszczęśliwy i chory. Nie mam żalu
do ciebie. Nie wierzysz mi i nie żądasz odemnie do-
wodów, ale będziesz je miał. O będziesz. Ale wten-
czas zapłaczesz — z żalu *(idzie ku oknu)*.

(Wchodzą z głębi Zenon Sobicki, ks. Radomin rozmawiając z Borsukiem, Jezierski, Kolanko, Adam i Katerla. Tworzą się grupy. Na przodzie rozmawia Radomin z Borsukiem. Zenon rozmawia z Ludką pod oknem. W głębi koło drzwi rozmawia Katerla, Jezierski i Adam. Kolanko rozmawia z Orugiem przy biurku).

JEZIERSKI. Deszcze musiały popsuć i u panów drogi.

Pewnie już nie można jechać z Borek parowem do
pana Oruga —

ADAM. A tak łaskawy panie. Woda pozносиła mostki
(rozmawiają dalej).

RADOMIN *(do Borsuka)*. Jezierski sam nic nie robi.

-
-
- Jezierski choruje na sensatę, ale wątpię, aby miał odwagę stanąć po stronie Oruga.
- BORSUK. Sądzisz więc Zdzisio, że dziś trzeba koniecznie wypowiedzieć Orugowi nasze kapitały?
- RADOMIN. Ach niewątpliwie.
- BORSUK. A jak on ma pieniądze i nas spłaci?
- RADOMIN. Skądby miał. Przecież dóbr swoich nie sprzedał. Hahaha. Hahaha.
- BORSUK (*wskazując ostrożnie na Oruga*). Patrz jaki zielony (*rozmawiają dalej*).
- LUDKA (*gwałtownie, stłumionym głosem*). Proszę papy ani słowa z nim o tem. Ja sama dam sobie radę. To papa doprowadził do tego, że on się cofnął.
- ZENON. Ludka! To już przechodzi wszelkie pojęcie! Stracisz reputację w całej okolicy. On nie chce ciebie, a ty gwałtem chcesz go zdobyć? Takiego pyszałka trzeba zetrzeć na proch. Zobaczysz, my go tu zetrzemy.
- LUDKA. Papo! niech się papa nie miesza! Papa może wszystko zepsuć. On wziął na kiel jak mój Kwakier. Papa mi przyrzeka?!
- ZENON. Ludka!
- LUDKA. Papa mi przyrzeka?!
- ZENON. Nic nie przyrzekam. Jestem twoim ojcem.
- LUDKA. Będzie papa żałował tego!! przysięgam papie!! (*idzie na lewo, zatrzymuje się przy Kajetanie Orugu*). Panie Kajetanie, Maniuta u siebie?
- ORUG. Tak (*głośno*). Proszę panów, zaczynamy posiedzenie.

(Wszyscy zajmują miejsca przy stole).

LUDKA (*do Oruga, który zostaje przy biurku*). Dlaczego nie dbasz o siebie? Włosy nieostrzyżone? Z tem ci nie do twarzy — ty — okrutniku. Bądź jutro u nas. Wszystko przebaczę (*idzie na lewo*).

ORUG (*dzwoni — wchodzi lokaj z głębi*). Jak telegram przyjdzie, przynieś natychmiast.

(*Lokaj odchodzi*).

(*Orug siada na wprost widzów za stołem. Po prawej stronie Adam, Feziński, Zenon, Kolanko. Po lewej Katerla, ks. Radomin, Borsuk*).

ORUG (*zimnym głosem*). Proszę panów. Kilka miesięcy temu złożyłem panom rachunki spółki za rok zeszły, zatwierdzone przez komisję wybraną z łona panów. Dziś otwierając posiedzenie przejdę wprost do wniosków niezalatwionych na ostatniem zebraniu. Czy ma który z panów cokolwiek do nadmienienia w tej sprawie? nikt? (*po chwili*). Stefanie, proszę, odczytaj sprawozdanie z ostatniego posiedzenia.

KATERLA (*czyta z otwartej książki*). Po wyczerpującej dyskusyi nad kwestyą budżetu i tegoż uchwaleniu na rok przyszły administracyjny, przystąpiono —

RADOMIN (*do Borsuka półgłosem*). Przerwij —

BORSUK. Proszę bardzo! Nam wszystkim spieszy się do domu (*coraz gwałtowniej*). Wnioski mogą sobie leżeć do przyszłego roku. Mój kuzyn (*wskazuje na Radomina*) jest tego samego zdania!! Przecież tak Zdzisio!

RADOMIN. Tak jest. Uważam to za stratę czasu, skoro są ważniejsze sprawy, które trzeba podnieść.

KOLANKO (*z niesłychaną flegmą, nie wymawia r*). Koniec końców proszę panów, rzecz się tak przedstawia —

ORUG (*ostro*). Co pan chce powiedzieć?

KOLANKO. Oświadczam się za księciem. Każdy, kto wie, że jestem przyjacielem księcia, zrozumie to nie inaczej —

BORSUK. Tu nikt nie może nam praw dyktować!

KOLANKO. Chciałem właśnie powiedzieć koniec końców —

ADAM. Kochany sąsiedzie. My jesteśmy dopiero na początku.

KOLANKO. To też właśnie koniec końców — —

RADOMIN (*powstaje*). Panowie! smutną to jest rzeczą — kiedy zawód spotyka tych, którzy ufali. Nadużycie czyjejkolwiek dobrej wiary —

ORUG (*ostro*). Do rzeczy książę! Obelgi na później.

RADOMIN (*uszczypliwe*). Wszak nie wymieniam osoby. Ach panowie — nie pozostaje nam nic innego jak poddać najpierw krytyce ostatnią kilkomiesięczną działalność pana Oruga. Z góry przepraszam kochanych sąsiadów, że będziemy musieli roztrząsać fakty zdumiewające indolencją i brakiem poczucia obowiązku.

BORSUK (*zrywa się*). Tak jest. Cały świat zwróci uwagę na nasz kąt. To panowie niepraktykowane! Spółka rozwijała się —

RADOMIN. Pozwól Leosiu (*Borsuk siada*). Mam nadzieję, że pan Orug we własnym interesie podda na-

tychmiast pod obrady podniesioną przezemnie kwestyę. Chciałbym bardzo, aby odzyskał to, co utracił w moich oczach. Ach — przypuszczam — że oczyści się z zarzutów (*siada*).

ORUG. Bardzo wdzięczny jestem panom, że stawiacie mię w takiej sytuacji a nie innej. Będę miał sposobność tem lepszą — zdemaskowania moich oszczerców.

BORSUK. Zdzisio! słyszysz?

RADOMIN. Ach — czegoż można żądać od pana Oruga.

JEZIERSKI. Proszę panów. Nie przesądzajmy rzeczy. Ten namiętny ton, który wkradł się tutaj, jest nie na miejscu. Podnośmy zarzuty, jeśli je mamy. Pan Orug odpowie na nie lub nie — ale nie uniemożliwiamy obrad nietaktownymi wykrzyknikami. Wierzcie mi panowie. To ubliża nam samym.

RADOMIN. Brawo. To samo chciałem powiedzieć pod adresem — *pewnej* osoby.

ORUG. Zaczynajcie panowie. Daję wam pole.

RADOMIN. — Leosiu, ty? proszę cię?

BORSUK. Rodzina moja proszę panów mieszka od wielu lat w tej okolicy. Przywykłem słyszeć bardzo wiele rzeczy. Nie zdarzyło mi się jednak nigdy mówić w takiej sprawie jak ta. Bardzo to przykre. Powtarzam bardzo. Spotkałem się wczoraj z panem Wittokiem, tu nieobecnym. Był także bardzo oburzony. To nie do uwierzenia, że taki pan Orug mógł tak bardzo zapomnieć się. Interesa spółki w najwyższym nieporządku! Jesteśmy panowie poważnie zagrożeni! Czy kto z panów wątpi w to jeszcze? Nikt

nie może wątpić! Pan Wittok drżał z oburzenia!
Obecny tu pan Kolanko zebrał niesłychane dowody.
ORUG (*do Kolanka*). Proszę pana.

KOLANKO. Tak jest. Zebrałem materyał oskarżający.
Koniec końców pan Orug od dwóch miesięcy w nic
nie wgląda. Jego sekretarz Katerla, albo nie chce
koniec końców nic robić, albo nie ma co robić.
Setki zaległych obstalunków. Przejrzycie panowie ko-
niec końców spis. Firma Kaunitz i Neufeld, firma
Barowskich — firma Kostki (*wyjął z kieszeni kartkę
papieru*). To obstalunki en gros. W takich razach
trzeba wydać inżynierom specjalne instrukcye. Ko-
niec końców to marnotrawstwo publicznego grosza.
Ja nie piszę się koniec końców na taką gospodarkę.
Niżej krytyki wszystko. Koniec końców tak jest.

ZENON. Parbleu! to nie do uwierzenia!

BORSUK. Bardzo nieszczególne! Bardzo się zawiodłem!

RADOMIN (*wstaje*). Ach panowie. To, co powiedział
pan Kolanko muszę podkreślić i przygwoździć na
miejscu. Prenons notre rôle au sérieux messieurs!
Jeżeli my dozwolimy niszczyć nasz majątek — ach,
co kraj na to powie?! Panowie! dziś kilka działów
w naszych fabrykach stoi beczynnje. Inżynierowie
potracili głowy. Ach panowie, dezorganizacya wkra-
dła się już do samych podstaw naszej spółki. Kilk-
dziesiąt tysięcy strat ponieśliśmy w ostatnich tygo-
dniach. Więc aczkolwiek smutny to obowiązek,
muszę napiętnować to szafowanie cudzym groszem
jako czyn zły i wzywam panów do wdrożenia ener-
gicznego śledztwa w tej sprawie. Ach panowie, kraj
na nas patrzy!

ADAM (*zmiieszany rozmawia z Jezierskim*).

BORSUK. Dywidenda spadnie do zera! Kto pokryje straty?

KOLANKO. Koniec końców zwrócić wszystko na drogę sądową!!

RADOMIN. Tak się musi stać, jeśli ten pan nie uczyni tego, co do niego należy.

JEZIERSKI (*do Oruga*). Proszę pana. Czy pan ma co na swoją obronę.

BORSUK. Tu nie ma nikt nic do mówienia. Mój kuzyn, pan Kolanko i ja dostarczyliśmy dowodów. Bardzo się dziwię. Bardzo się dziwię.

RADOMIN. Kochany panie — mnie się zdaje także —

JEZIERSKI (*z naciskiem*). Ja nie ulegam niczyjej presyi. Słuchałem jednej strony. Teraz audiatur et altera pars. Niech pan Orug powie to, co może powiedzieć na swoją obronę. Słucham pana.

RADOMIN. Ach owszem, już owszem.

ORUG (*w silnem rozdrażnieniu*). A więc tak jest. Ci panowie nie kłamią. To muszę im przyznać. Lecz ja im przypomnę, że nikt nie ma prawa wglądać w to, co robię i jak robię.

BORSUK. To niepraktykowane! Zdzisio!

JEZIERSKI. Panie Orug — niech się pan zastanowi.

ORUG. Nikt nie ma prawa. Mam to najwyraźniej zastrzeżone w notaryalnym kontrakcie. Panowie zapominają widać na jakich warunkach stanęła nasza spółka! Po śmierci mego ojca pan Sobicki — Zenon — zaproponował mi zbiorową pożyczkę obywatelstwa celem rozszerzenia moich fabryk. Chodziło o dobre ulokowanie miejscowych kapitałów. Kiedy

później przekonaliście się panowie, że wstępując do faktycznej ze mną spółki możecie pobierać dywidendę wyższą od płaconych wam procentów, zaproponowaliście mi przystąpienie wasze do spółki — połowiczne — bo z tem zastrzeżeniem, że dywidenda nie może być mniejszą od wypłacanych wam dotychczas procentów. Czy *wy* panowie robiliście mi łaskę, czy ja wam?!

BORSUK. Nikt o nią nie prosił.

KOLANKO. Koniec końców to mię oburza!

JEZIERSKI. Jest w tem część prawdy.

RADOMIN. Ależ kochany panie —

ORUG. Więc nie *wy* panowie, ale *ja* dałem dowód dobrej woli. Chciałem tchnąć w ogół zaufanie do racjonalnej produkcyi — chciałem krajowym kapitałom otworzyć drogę nowych obrotów. To była *moja* ambicya. Wasze kapitały panowie nie odgrywały tu żadnej roli. Za wasze kapitały rozszerzyłem moje przedsiębiorstwa, tak, ale te kapitały ubezpieczone są na wszystkim co posiadam, nawet na moich prywatnych włościach!

BORSUK. To wszystko nas nic nie obchodzi. Mamy prawo domagać się jak najwyższej dywidendy!

RADOMIN. Z tem pan musisz się liczyć. Przedewszystkiem z tem!

ORUG. Przedewszystkiem mości ksiązę jestem człowiekiem.

ZENON. Ależ to fantasta!

KOLANKO. Sam się demaskuje! śledztwał śledztwał

BORSUK (*gwałtownie*). Imieniem obywateli wnoszę, aby ustanowić dyrektora odpowiedzialnego a pana

Oruga usunąć z dotychczasowego naczelnego stanowiska!

RADOMIN. Ach tak.

KOLANKO. Tak musi być — koniec końców!

JEZIERSKI. A pan co na to?

ORUG. Nie pozwolę nikomu rządzić w moim majątku!!

Mnie się tak podoba!!

RADOMIN. Słyszałeś pan?

KOLANKO. O! panie Orug! skądże taka buta? Ojciec pański był dorobkiewiczem.

ORUG. Panie Kolanko! strzeż pan lepiej brudów *swojej* rodziny!

KOLANKO (*z gniewu nie mogąc mówić*). Jak? jak? jak?

ORUG. Każ pan powtórzyć sobie tym panom.

KOLANKO. Horrendum! —

BORSUK (*do Radomina*). Bądź co bądź były tam brudy.

KOLANKO (*głos mu się łamie*). Biorę was wszystkich panowie na świadków! Nie inaczej będzie — tylko tak — jak honor mi każe — — Panowie.

BORSUK (*półgłosem*). Zdzisio. Teraz czas najwyższy! wypowiedz mu kapitały!

KOLANKO. Nie dość, że tego człowieka wpuściliśmy do swoich salonów — ale jeszcze okrył się infamią.

Mnie gniew — głos odbiera — —

LOKAJ (*wchodzi, podaje na tacy telegram, odchodzi w głąb*).

KATERLA. Telegram — do ciebie —

ORUG. Otwórz!

KOLANKO. Panowie! koniec końców obywatelstwo musi się za mną ująć — koniec końców —

KATERLA (*czyta półgłosem Orugowi*). Sprzedałem do-

bra 1,200.000 — Zaremba — (*patrzy w niego badawczo*).

ORUG (*wzruszony, patrzy w telegram*).

RADOMIN (*do Kolanka*). Kochany sąsiedzie! Proszę mi pozwolić mówić.

KOLANKO. Koniec końców nikt nie ma prawa pozabawiać mię głosu. Panowie! —

RADOMIN (*sadza go przemocą*). Dosyć, dosyć —

KOLANKO. Koniec końców — (*milknie*).

RADOMIN (*wstaje*). Ach panowie! przekonani jesteście obecnie o wielkim nietakcie pana Oruga. Nie tylko, że swoją złą gospodarką prowadzi interesy naszej spółki wprost do ruiny, lecz nawet nie chce dopuścić do żadnej ingerencji z naszej strony. Wobec tego —

ORUG (*mocno*). Książę! Muszę sprostować jeden fakt ważny. Książę skończy po mnie.

RADOMIN. Ach owszem.

ORUG. Niezadowolenie panów słuszne. Nie pozostaje mi nic innego, jak uwolnić panów od tej niepewności, *jaką* dywidendę będziecie pobierać. Z dniem dzisiejszym *uważam naszą spółkę za rozwiązaną*.

WSZYSCY (*zdumieni*).

ORUG. 1,100.000 które panowie wnieśliście do spółki, będą wypłacone na żądanie każdemu w 24 godzinach, względnie z dywidendą po upływie roku administracyjnego, jak to przewiduje nasz kontrakt notaryalny. (*do Radomina*) Teraz proszę mówić.

WSZYSCY (*jeszcze bardziej zdumieni*).

JEZIERSKI (*cichym głosem*). Panie Kajetanie — do czego to prowadzi? Ja już nie wchodzę w przyczyny pańskiego postępowania, ale obowiązkiem moim prze-

strzedz pana. Zobowiązywać się nieopatrznie wypłacić dane sumy w 24 godzinach, to oczywiste bankructwo.

ORUG. Nie cofam tego, co powiedziałem. Dziś sprzedano moje dobra w Warszawie. Rozporządzam potrzebnym kapitałem.

JEZIERSKI. Coś pan zrobił?

BORSUK. Zdzisio! słyszysz? wyrzuca nasze kapitały! Djabli wzięli dywidendę! Oszalał. A mówiłem przed posiedzeniem.

RADOMIN. Ach, ach — ja sam — nie wiem.

KOLANKO. Koniec końców a to miły kawaler.

ZENON (*jak rażony piorunem*). Panie Kajetanie — taki krok — straszny. Przecież moja córka —

ORUG. Panie Sobicki. Byłeś pan szczery, żądając odepnie, abym ożenił się z pańską córką. Ja również będę szczery i nie będę nic taił. Aby być wypłacalnym, sprzedałem moje dobra. To zaś, co mi pozostaje i wszystkie fabryki, *zapisuję na cele filantropijne*. — Jestem ubogi. Czy teraz oddasz mi pan córkę za żonę?

ZENON (*przerażony*). Człowieku! na Chrystusa Pana — co mówisz? Panowie! czy wy go rozumiecie? — ja ja — (*opiera się na krześle*).

BORSUK. Nam nic i sobie nic? Na jakieś cele! Zdzisio!

KOLANKO. Nie można na to pozwolić. Fantazyje panie dzieju. Faramuszki. Koniec końców to kpiny z nas!

JEZIERSKI. Panie Kajetanie, czy pan wie, *co* pan robi?

Pytam pana, jak przyjaciel —

ORUG (*ściska rękę Jezierskiemu*). Dziękuję, lecz to moje postanowienie, od którego nie odstąpię (*idzie za biurko*).

ZENON (*wściekły*). Nie pozwolę! Ten młody człowiek miał we mnie prawie że opiekuna! Byłem przyjacielem od serca jego ojca! To wszystko zrobiły jakieś szelmowskie intrygi. Ten, ten tu, ten sekretarz opętał go jak zły duch. Przez niego zginie najdzielniejszy człowiek naszego powiatu. Panowie! my nie pozwolimy panu Kajetanowi, aby dopuścił się takiego rozboju na samym sobie! My nie przyjmujemy naszych kapitałów!

ORUG (*drwiąco słucha*).

BORSUK. To właśnie! Bardzo dobrze powiedziane! bardzo dobrze. Brawo panie Zenonie!

RADOMIN. Ach tak jest! (*idzie do Zenona, ostentacyjnie ściska mu rękę*). Dziękuję panu w imieniu nas wszystkich. Kochany panie Kajetanie — co nie, to nie. — Ach tak.

JEZIERSKI (*do Adama*). Nie mamy tu co dłużej robić. Chodź pan (*klaniając się, wychodzi z Adamem*). A to smutne.

KOLANKO (*do Oruga*). Kochany sąsiad koniec końców niech nie bierze sobie tak bardzo do serca naszej przyjacielskiej opozycji.

BORSUK. Owszem, bardzo będziemy zobowiązani, bardzo! Co Zdzisio? prawda?!

ZENON. Ależ panie Kajetanie! Jak możesz iść w ślady takiego człowieka, jak Katerla?!

KATERLA. Milcz pan! takim, jak pan, rzuca się złotem w oczy!

RADOMIN. Panie Kajetanie! po raz ostatni zwracam się do pana. Ja stoję ponad wszystkim. Ja nie bronię żadnych idei ani tradycji. Owszem, jestem za panem.

-
-
- I jak jestem za panem, tak radzę szczerze. Ustąp pan. Spółka pozostanie spółką. To nie po obywatelsku wyrzucać nagle miejscowe pieniądze z obrotu. Pan wyzyskuje sytuację. Ale to nieetycznie. Ach wierz mi pan, to nieetycznie. Więc co panie Kajetanie?
- ORUG. Nigdy!! nigdy!! gardzę wami! Poznałem was panowie tak dobrze, jak gdybym z pnia korę obdzierał i przecinał słoje! Fatalna mieszanina znieprawionych komórek —
- RADOMIN. Ależ to przechodzi wszelkie pojęcie! co on śmie nam zarzucać?!
- ORUG. Mości księżę! Górne słowa, górne oburzenie. Nie ja, ale wy chcieliście wyzyskać sytuację. Wyście przyszli z ukartowanym planem. Chcieliście mi wypowiedzieć kapitały i tem mię zgnębić! A co mości księżę?!
- RADOMIN. Panowie! To bezczelność!! On śmie nam zarzucać taką podłość!!
- KOLANKO. Infamis koniec końców!
- ORUG (*z najwyższą pogardą*). I wy zwiecie się ludźmi!
- RADOMIN. Jesteś pan parweniuszem, bez kultury, bez etyki! Piętnuję pana jako takiego! piętnuję jak skaźca!
- SOBICKI (*z całą wściekłością*). Oto macie panowie żywy przykład, do czego doprowadza zuchwalstwo do robkiewiczów!!!
- BORSUK. Bezczelność! Zdzisio! bezczelność!
- ORUG (*wskazując drzwi w głębi*). Panowie opuście mój dom!! — proszę!! tędy!!
- RADOMIN (*gestykulując gwałtownie ręką*). Ja pana nauczę poszanowania drugich!! —
-
-

KATERLA (*siedzi między biurkiem a stołem. Obywatelowie są po drugiej stronie stołu*).

ORUG (*dzwoni gwałtownie — do lokaja, który wchodzi z głębi*). Poświecić tym panom na podwórze!!

RADOMIN. Ach panowie — —

KOLANKO (*ryczy*). Zniewaga — zniewaga! —

RADOMIN. *Kulą* zamknę mu usta! (*rzuca Orugowi w stronę biurka bilet wizytowy*).

BORSUK. Tak jest, tak jest. Zdzisio świetnie!

KATERLA (*wychylając się przez stół, z niestyczną gwałtownością*). Podnieś ten bilet! natychmiast! bo wypoliczkuje!! (*robi gwałtowny ruch ku niemu*). Podnieś natychmiast!!

RADOMIN (*patrzy po wszystkich, potem wściekły podnosi z ręcznicę bilet — odchodzi wolnym krokiem w głąb, wyprostowany, dumny*). Ach — bez kultury — —

BORSUK, ZENON, KOLANKO (*wychodzą przed nim spieszenie w ślad za lokajem*).

ORUG (*siada wyczerpany*).

KATERLA (*idzie ku oknu — potem*). Kajetanie czas, abyśmy pomówili ze sobą.

ORUG (*słabym głosem*). Tak.

KATERLA. Ja nie rozczulam się i nie analizuję. Biorę rzeczy tak jak są. Przyjaźń moja nie była sentymentalizmem. Była szorstka jak dłoń wyrobnika, ale była szczerą. Czy twoja była taką samą, nie wiem.

ORUG. Może, może. Nie wiem nic.

KATERLA. O, ty to, co robisz, robisz logicznie. Ja cię

znam do tyła. Jesteś fantasta, ale cokolwiekbądź postanowisz, przeprowadzasz to logicznie.

ORUG. Więc o co się pytasz? (*apatyczny*).

KATERLA. Słuchaj Kajetanie. Dawniej nie było jednej myśli, którąbys się ze mną nie dzielił. Tak. — Ja nie bajałem ci o tem, że jesteś wielki, wielki, na milion sposobów wielki — ale ci kładłem w uszy to, że cię wyzyskują, że się marnujesz. Tyś ponoć otwarł oczy — za sprawą moją. Więc teraz przychodzę i pytam cię — gdzie jesteś? coś zrobił? coś postanowił?

ORUG. Znasz się na tem lepiej odemnie.

KATERLA. Postępujesz Kajetanie, jak tchórz. Co prawda, toś ty nigdy nie miał nadto odwagi, aby wypowiedzieć jasno to, co myślisz. Tyś miękko duch. Boisz mi się powiedzieć: Katerla, jesteś parciarz — albo Katerla, znudziłeś mnie. Sądzisz, że takim, jak ja, lepiej powoli ujmować gruntu pod nogami.

ORUG (*przechodzi pod okno, opiera głowę o ramę*). Myślałem o sobie.

KATERLA. Wykręcasz się. Ja żądam od ciebie, abyś mi zdał rachunek z tego, coś zrobił, albo, abyś mi powiedział wprost w oczy, że mi go nie dasz, bo mną gardzisz, jak tymi tam —

ORUG (*prostuje się, gorzko*). Mam ci zdać rachunek? pozwolic ci dotykać się palcem obolałych rąk, oczu, słuchu? Chcesz zasiąść na trybunale i pytać mojej duszy, dokąd idzie? Może zawiele żądasz?

KATERLA. Nie łądź się przenośniami. Ty sam bez podpory nie pójdziesz przez życie. Takich, jak ty, trzeba przywiązywać do woli czyjejs, jak groch do tyki. Masz we łbie genialność, masz zapał — jak się

porwiesz na mury, to mury rozbijesz — ale równie dobrze umiesz runąć z lada głupiej kładki. Więc ja ci teraz mówię: ani kroku dalej!! ani kroku!! Chcesz iść, to mi mów, co robisz. *Tu* moje miejsce! Dopóki zwiążę się twoim, tu przy tobie!! Powiązałem z tobą wszystko moje — wiarę, ideały, dumę. Z ciebie chcę zrobić człowieka na wielką modłę. Ugrzązłeś tu w tych ciasnych ramach produkcyi fabrycznej, niezdrowej pracy i miłości, jak okręt na mieliźnie. Teraz czas się podnieść! Musisz znaleźć dla siebie dalekie lądy ducha i czynu. Kajetanie, ja chcę, abyś wstał!

ORUG (*ironicznie*). Zapomniałem o tem, że trzymasz straż nad mojami myślami. Poszedłem inną, inną drogą. Nie ma na niej ani powietrza, ani wody, ani brzegów, ani celu — jest bezdeń. To tak różne od twoich rozkazów, aż muszę gorzko śmiać się.

KATERLA. Cóżes innego zrobił, jak to, czego ja żądałem od ciebie? Zerwałeś ze Sobickimi, zerwałeś z nią, rozbiłeś spółkę. Wstyd ci się przyznać, że posłuchałeś moich rad? A tak. Tyś zrobił jeszcze coś więcej. Zrzekłeś się ponoć majątku. Ale wiedz, że wyrwałeś się z tem, jak Filip z konopi. Postąpiłeś, jak fantasta, jak dzieciak, któremu nie dano figi.

ORUG (*rozdrażniony*). Chodzi ci o prawa wynalazku? Tak? Sądzisz, że każdy patrzy w plewy, a ty tylko w pszenicę? Nie chcesz nawet przypuszczać, że mogłem ominąć twoje roгатki i zamiast na prawo, poszedłem na lewo? kole cię w oczy to, że zrzekłem się majątku? Ha cóż ja winien, że ty masz praktyczną głowę i praktyczne instynkty. (*z wielką butą*) Mnie zaś przyśniło się raz, że mój majątek zamienił

się w wielki plaster miodu i że dla tego siadają na mnie muchy, bąki, osy i tną mię niemiłosiernie. Zbudziłem się — sen wziąłem za rzeczywistość i plaster miodu odrzuciłem precz. Skutek będzie wielki. Owe muchy, bąki, osy — pójdą za miodem — —

KATERLA. Kajetanie! ja nie zniosę żadnych przytyków! Nie baw się w dowcipnego głupca! Rozmawiam z tobą jak z przyjacielem.

ORUG. Czy tę przyjaźń rozumiesz z bliska czy z daleka? Bo ja wolę z daleka.

KATERLA. Oszalałeś?

ORUG. Tak — coś pomieszało mi się w głowie. Widzę ciebie i nie widzę ciebie — a zwłaszcza coraz mniej słyszę.

KATERLA. Bój się jednej rzeczy. Ja chłop. Jak wierzę w co, to bez granic, jak kocham, to bez granic — ale jak wzgardzę czemś, to wpierw to coś, co kochałem, zdeptam jak mierzwę, zanim plunę i odejdę.

ORUG. Czy chcesz przez to powiedzieć, że przyjaźń da się wymusić?

KATERLA. Nie mów tak dalej! Kajetanie! Ja nie chcę brać cię za takiego, jakim może jesteś. Ty cierpisz. Twoja wyobraźnia chora. Tak — ale co boli, to boli. Naraz uwierzyć, że ktoś, kogośmy cenili, jest podły — to przecież straszne. Przyłgnałem do ciebie. Czy do kogo więcej w życiu, nie wiem. A! żyje jeszcze mój stary ojciec. Lecz to co innego. Nie parz mi twarzy ukropem, bo mi krew uderza od tego do głowy.

ORUG. Będzie studyum gotowe —

KATERLA. Tak! Drwij! nawet pomstuj na mnie za to, że

byłem ci jak bat — to jeszcze nic. Dziś, kiedy zerwałeś z nimi, zdawało mi się przez chwilę, że oszaleję z radości. Ale teraz — ty, uratowany, mówisz jak w gorączce i działasz jak ten, co idzie na stracenie! Coś postanowił Kajetanie? Dlaczego pozbawiłeś się majątku? Majątek to pług, to broń dla tych, co mają działać. Tyś go miał. A teraz zrzekasz się go, kiedy sam możesz oddać nieocenione usługi społeczeństwu?! Mów już, co chcesz — gardź mną — ale zawróć! zawróć!

ORUG. Z innego jesteś świata, ja z innego. Mówisz słowami, które kiedyś obijały mi się o uszy, może nawet wzruszały mnie. Dziś one brzęczą mi koło głowy jak uprzykrzone owady. Mnie lepiej z tej strony, gdzie jestem. Niech szumi to morze mętów, które nazywa się życiem. Ja pójdę od niego dalej, coraz dalej — byle nie słyszeć jego skowytu i nawoływań kupczących wyspiarzy. Tobie zaś to jedno mogę poradzić — szanuj swoją godność ludzką i nie mów z istotą, która nie ma oczu na wasze barwy, słuchu na wasze hasła ani wrażliwości na wasze wzruszenia. Wszystkie wasze wartości przewróciły mi się do góry nogami. Zapomniałem działań algebraicznych i nie umiem wyciągać pierwiastków z waszych potęg.

KATERLA. Kajetanie — ty cierpisz. Lecz nawet w nieszczęściu trzeba dźwignąć głowę nad swój ból osobisty.

ORUG. Nieszczęście, jeśli ono jest moim udziałem, budzi we mnie ciekawość, co jest *na dnie* jego. Dotychczas kaleczę sobie palce o krawędzie, ale dno jego przyrzeka mi takie nieznanne rozkosze! Między

jego brzegami — a tem dnem zamyka się państwo tak wielkie, iż nie dochodzą do jego wnętrza *odgłosy waszego świata*.

KATERLA. Patrzysz na wszystko jednostronnie. Społeczeństwo nie kończy się na Sobickich i Radominach — są w niem Jezierscy i tysiące innych. Wyjdź poza siebie a dostrzeżesz poza kołami zardzewiałemi wielkie świetliste koła ducha — które dla jednych widomie dla drugich niewidomie porywają w swój obrót ludzi i narody — —

ORUG (*w najwyższym stopniu rozdrażniony*). Więc czem chcesz mię mieć! czem? Twój świat dzieli się na różne koła. Dla mnie jest jeden — ten, co moją głowę bierze za włosy — a ja wydzieram się jak szalony i miotam i nie chcę dać mego mózgu pod sprychy waszych pojęć i zasad. Mnie wszystko jedno, jacy wy jesteście. Nie rozróżniam kolorów — jaśni jak słońce czy czarni jak noc — widzę tylko skutek.

Byłem z wami, tam, na tem morzu. Wykołysano mi myśli w takt tych samych fal co tobie. Wasze idee kłóciły się taksamo o mój mózg jak wyspiarze o mój majątek. — O! — te lata wysługiwanie się sercem, rozumem, mieniem! O! — te dni szamotania się, podnoszenia i zapadania w nicość! Nigdzie żadnego wykładnika! Szukałem myśli — *wasze* myśli. Szukałem uczuć — *wasze*. Chciałem patrzeć, patrzeć — *wy, wy*, — to jedno bezgraniczne morze — skowyt — ujadanie — brud.

A ja gdzie? a ja gdzie? to ja, co buntuje się? Tyśiąć myśli waszych. Tak. Ale jedna przecież jakaś inna,

przecież nawskróś moja — więc to ja!! jakieś inne od was, całkiem różne!! I począłem uciekać, uciekać — byle dalej — dalej. Ból świszczał mi nad głową jak żagwie niesione wichrem — a ja uciekałem, uciekałem. I padłem wreszcie gdzieś tak daleko od was — że budzę się — i nie poznaję już nic, i nie wiem nic, nic. —

Kiedy to się stało — we śnie czy na jawie — w jednej sekundzie cierpienia czy w całych jego latach — nie wiem. Ale to się stało

(opiera się wyczerpany na fotelu),

KATERLA *(z wielką boleścią)*. Kajetanie — więc to tak jest? zeszedłeś nad same krawędzie ducha? Kajetanie — to straszna droga — *(chce iść ku niemu z wyciągniętą ręką)*.

ORUG *(w niestłuchanym rozdrażnieniu i niepokoju)*. Nie chcę — nie chcę, nie chcę *(cofa się)*. — Ty i oni — jedność — nie chcę. — Znam cię — widzę cię szara skłębiona masa o setkach nóg — macków. — — Pełzasz po ziemi jak gad niezmierny — powoli — a błyskawiczne masz ruchy drobnych odnóży — pełzasz a na czem siądziesz, siadasz jak szarańcza — wyssana ziemia — wyssane kłosa — wyssane mózgi —

KATERLA *(chce iść ku niemu)*.

ORUG. Precz — precz. Byłem pod tą szarą masą — ssła moją krew — serce. Łaziła po mnie — tu po rękach, piersiach, szyi — *(ruchy jakby co zdzierał)* — jak białe stonogi. Jeszcze ślady lepkie są — są. Precz, precz. Nie chcę was znać — zostanę daleko — sam,

Oddałem com miał. Sam chcę być — sam, sam, sam, sam — bez ludzi — bez czucia — tylko mózg i ja sam — — — (*przeciera oczy — po chwili*). Och, och (*pada we fotel zmęczony w pobliżu okna*).

(*Milczenie*).

KATERLA (*robi kilka kroków ku niemu, stłumionym głosem*). Kajetanie — chcesz, abym cię opuścił? —

ORUG (*nie podnosząc głowy, szeptem*). Tak —

KATERLA. Będziesz rad temu —

ORUG. Tak.

KATERLA. Przekonałeś się, że nie godny twojej przyjaźni?

(*Milczenie*).

Wyzyskiwałem cię?

(*Milczenie*).

Znienawidziłeś mnie?

(*Milczenie*).

Przecież znajdziesz jeszcze głos w krtani, aby mi dać odpowiedź. Zawiodłeś się na mnie? oszukałem cię?

Odpowiadaj, odpowiadaj! Bo przecież muszą być powody, dlaczego chcesz się mnie pozbyć — odpowiadaj!!

ORUG (*podnosi się z wysiłkiem, opiera się na obu poręczach fotelu*). Tak, tak, tak, tak.

KATERLA. I ty wiesz co mówisz?!

ORUG. Wszystko, co chcesz, tak, tak.

KATERLA. Fakta, fakta!

ORUG. Nie mam majątku! nie mam nic, nie dam nic.

KATERLA (*podchodzi ku niemu, zduszonym głosem*).

Nie pójde stąd, póki nie powiesz! fakta! fakta! nie pójde! słyszysz! fakta!

ORUG (*cichym głosem*). Tyś inny, jak ja — tyś inny. Przepaść między nami. Ja nienawidzę *twojego* sposobu myślenia — ty gardzisz moim.

KATERLA. To nie to! to nie to!

ORUG (*po chwili*). Masz duszę za szorstką — nóż w ustach i ciernie w dłoniach.

KATERLA. To nie to! nie uwolnisz się odemnie! fakta! fakta!

ORUG. A więc dobrze (*po chwili*). Kochasz moją siostrę — tak?

KATERLA (*uderzony jak piorunem, potem szeptem*). Tak.

ORUG. Taiłeś się z tem przedemną — dla czego? (*milczenie*). Tyś taki jak oni — wstydziłeś się — interes — interes — hahaha — hahaha!

KATERLA. Jak?! a! i ty śmiesz także!!! ty — mój przyjaciel!!!!? (*rzuca się na niego, obala we fotel*). Zadzuszę! zaduszę! — psie!!! (*podnosi go i rzuca we fotel, Orug broni się*). Tak, tak!!! — mierzwa!!! (*potem odsuwa się kilka kroków, przeciera czoło, naraz przerażony szeptem*). Co ja zrobiłem?? Co ja zrobiłem?? — ??

ORUG (*gardlanym głosem*). Precz —

KATERLA. Co ja zrobiłem?! Co ja zrobiłem?! (*wypada w głąb*).

Ta sama sala — stół wielki i krzesła otaczające go wyniesione — na biurku pali się lampa z reflektorem. Orug siedzi przy biurku, pochylony nad otwartym, grubym zeszytem, przewraca kartki. Zaleska stoi tuż przy nim, ręką obejmuje go za szyję, wpatruje się w zeszyt. Słychać chwilami wicher na polu i deszcz.

ORUG. Dawno nic nie pisałem w moich pamiętnikach.

Ostatni raz w Norwegii — 4 sierpnia.

ZALESKA. Tak, 4 sierpnia. Czytałeś mi Kajeczku. To już lat temu pięć, sześć. Zacziesz teraz nanowo pisać, dobrze? i będziesz mi czytać wieczorami co nieco — dobrze?

ORUG (*kładzie rękę na otwartym zeszycie*). Tego człowieka *tu* rozumiałaś cioteczko —

ZALESKA (*całując go w głowę*). Tego teraz odczuję — albo będę słuchać słów twoich tak, jak się słucha wiatru albo szumu lasu.

ORUG. Żebym mógł pisać! Nie mam cioteczko atramentu ani takiego pióra, aby mi dały spisać się myśli, które teraz zachodzą do mnie. Możeby papier zasyczał, zwinął się jak wióro i palił się — — Siadaj ciotuchno.

ZALESKA. Nie, nie, mnie tak najlepiej.

ORUG (*patrząc jej w oczy*). Czy zastanowiłaś się już dobrze nad tem moja droga, jakie będzie twoje życie ze mną? Ty los masz zapewniony tak jak Maniuta. Zamieszkałabyś albo sama, albo razem z nią w jakimś mieście. Lubisz bardzo Kraków — może w Krakowie. Płynęłyby ci dnie spokojnie. U mnie będzie ci źle. Nie zatrzymałem sobie nic więcej z majątku, prócz leśniczówki połędzkiej. Tam będzie bardzo cicho i bardzo smutno. Zostaw mię cioteczko samemu sobie. Kazałem konie przygotować. Jutro wczas rano odwiozą ci rzeczy do stacyi. Właściciel nowy przyjeżdża w tych dniach — — —

ZALESKA (*przez łzy, tuląc jego głowę do piersi*). Nie myśl o mnie. Ja znajdę sobie malutki kącik w leśniczówce. Przyjedziesz, znajdziesz swój stary cień i będzie ci z nim dobrze. Ten cień bardzo cię kocha —

nigdy o nic nie pyta. Jak pozwolisz, to tylko czasem jakim późnym wieczorem twój cichy cień usiądzie razem z tobą przy lampie i będzie słuchał twoich myśli głośnych — jak szumu onego lasu.

ORUG (*całuje ją w rękę, potem*). Spocznij ciotucho.

ZALESKA. Ale prawda — mam jeszcze jedną prośbę do ciebie Kajeczku.

ORUG. Co cioteczko?

ZALESKA. Mówię o parowie, co wie dzie stąd do Sobickich. Ja zawsze bałam się bardzo, ile razy ty albo pan Stefan jechaliście tamtędy. Tam tak łatwo o nieszczęście. Wczoraj w nocy jakaś kobieta wracała do wsi i zabiła się. Spadła w przepaść razem z koniem i wózkiem. Poproś mój drogi nowego właściciela, aby raz na zawsze zamknął drogę przez parów. To najkrótsza droga do Borek, a ludziom zawsze spieszy się tak bardzo.

ORUG. Dobrze cioteczko. — Katerla wrócił?

ZALESKA. Widziałam światło w jego oknie. Widocznie wrócił. Coby robił na dworze. Taki deszcz i wichur na polu.

ORUG. Maniuta u siebie?

ZALESKA. Nie — została w moim pokoju.

ORUG. Czy ona kiedy zwierza się z czem cioci?

ZALESKA. Nie. I po co?

ORUG. Tak, ale są chwile —

ZALESKA (*po chwili wstaje, całuje go w głowę*). Bądź dobrym dla nich — —

(Wchodzi z głębi Katerla, blady, zapina niepotrzebnie zapięte guziki u marynarki — zatrzymuje się w głębi).

ZALESKA (*do ucha Orugowi*). Pan Stefan.

ORUG (*drgnął — wstaje*).

ZALESKA. Dobry wieczór panie Stefanie. No, ale ja idę do Maniuty. Trzeba rzeczy pakować co nieco (*odchodzi na lewo*).

KATERLA (*złamanym głosem*). Uniosłem się. Zrobiłem źle. Powinienem był prosić ciebie o przebaczenie. Chciałem dobrze, ale wszystko poszło na opak. Przeniceniłem twoje siły. Myślałem, że lepiej znam duszę ludzką. — Kochałeś — zrabowałem ci to uczucie. Tem, czem jesteś teraz, jesteś przezemnie. Nie chcę słyszeć od ciebie nic — żadnego słowa. Nie mów, nie mów. Wzruszysz się. Dla takich, jak ja, nie warta się wzruszać. Wyrządziłem ci krzywdę na całe życie. Wiem o tem. Ty wiedz także. Unikaj na przyszłość przyjaciół. Przyjaciół, to bardzo głupie zwierzę, zwłaszcza, jeśli chce leczyć — przyjaciela.

ORUG. Może tak było, jak mówisz, ale to już tak musiało być i bez tego.

KATERLA. Nie tłumacz i nie przebaczaj. Ja silniejszym będę, wiedząc, że przeklinasz moją pamięć, niż wiedząc, że przebaczasz. Pod brzemieniem twego przebaczenia giąć się będę do ziemi.

ORUG. Co winien piorun, kiedy pada i pali?

KATERLA (*gorzko*). Tak, tak — działałem ślepo i bez celu jak piorun. Chełpiłem się siłą i krzepkością. Ale wysiliłem się ślepo i bez celu. Teraz chyba już nikt nie nazwie mnie piorunem. Po tej zaś całej mojej

wielkiej działalności pozostaje wydeptane cudze życie — jak kiedy było idzie w szkodę i pozostaje po niem wydeptane zboże.

ORUG. We wszystkim tkwi nieubłagane przeznaczenie. Tak musiało być. Twoja wolna wola złożyła się z tysiącznemi przyczynami na wypadkową — tak musiało być — i moja wolna wola poszła torem wypadkowej — tak także musiało być. Nie wiem, czy lepiej mi z tem, co dziś we mnie jest, czy z tem, co było. A kiedy nie mam miary, nie mogę wiedzieć, czy winien jesteś czegokolwiek.

KATERLA. Kajetanie — ja — *jestem* winien. Byłem podły, podły, podły. Nie ma nazwy na mnie. Egoizm, zła wola, szaleństwo. Kajetanie! nie stój jak sfinks przedemną, tylko kluj, uderz — bo tak to w głowie mi się miesza od wściekłości i żalu. Godzinami całemi błąkałem się po lesie i na żadnej gałęzi nie upatrzyłem swego przeznaczenia. Powiesz, żem chłop a tchórz. Ale mnie coś gnało *tu* po to słowo: winien. Powiedz, a ulżysz. Przecież jak było, to jednak zwałem się twoim przyjacielem! Zrób łaskę — ulżyj — puść mię w świat z tą świadomością »winien«! Kajetanie!!

ORUG. Niech pomyślę, niech pomyślę. Powiem, ale niech pomyślę. Trochę później. Na tyle pytań głównych szukam odpowiedzi — — — (*drży ze wzruszenia, odwraca się tyłem do niego, przyciska oczy palcami*). Później — później —

KATERLA. O — ol (*ściska skronie*).

(*Wchodzi z głębi służący, pukając*).

SŁUŻĄCY. Jaśnie panienska z Borek przyjechała.

ORUG (*uderzony wiadomością*). Teraz? sama?

SŁUŻĄCY. Nie — z furmanem.

ORUG (*niechętnie*). Proś. (*idzie ku oknu. Służący wychodzi*).

KATERLA (*żywo*). Odejdę stąd, ale pozwól, że za chwilę wrócę. Mów, o mów z nią (*odchodzi na lewo — słysząc deszcz i wicher gwałtowny*).

LUDKA (*wchodzi z głębi, w męskim słomianym kapeluszu na głowie, zmoczona, włosy mokre, potargane wicherem — zrzuca gumowy płaszcz z ramion*).

ORUG (*kłania się zimno*).

LUDKA (*ściągając rękawiczki, żywo*). A — dobry wieczór. Albo — dobra północ! A co? nie spodziewałeś się mnie? Miałam z mamą i z papą okropną przeprawę. Zagrozili mi wydziedziczeniem, jeśli wyjdę za ciebie. Hahaha! Kazałam zaprządz Kwakiera — no i uciekłam. Wszystko mi jedno, jak ten deszcz i wicher. Haha — jak ten Kwakier pędził! — jak moje myśli! No, ale teraz powiedz — przekonałam cię? co? Kto kocha lepiej? ja, czy ty? a co? masz dowód?

ORUG (*zimno*). Dom ten nie jest już moim domem.

LUDKA (*śmieje się sztucznie*). Mówiłeś mi — Hahahaha! nie jest twoim! Hahahaha! zobaczymy! Ale może poprosisz mię siadać. Zmęczyłam się. (*siada*) A to cudowny romans! No cóż tak stoisz zaszępiiony? Jestem już jakby twoją żoną. Zatelegrafujesz jutro do biskupa — i koniec. Hahaha! Cała okolica pięknie ze złości — popsują sobie języki. Zmęczyłam się. Teraz

śmieję się, bo już po wszystkim. Kwakier to wściekły ogier. *(po chwili)* Smutny jesteś? nie możesz przyjść do siebie? *(z wielką finezyą)* To ja — to ja — Ludka Sobicka —

ORUG. Dużo jest w pani fantazyi, o tem wiem. Lecz nie żądałem na to dowodów. Proszę wrócić do rodziców.

LUDKA *(zrywa się)*. Co?! co?!!

ORUG. Nikt o tem nie będzie wiedział. Niech pani wraca.

LUDKA. Kajetanie!!! co ty mówisz?! Czego ty chcesz odemnie?! Kocham. Przecież widzisz, że kocham. Któraż inna zrobiłaby to, co ja zrobiłam?! Każesz mi wracać? nigdy!! nigdy!! na pośmiewisko, wstyd?? Ani na chwilę nie pomyślałam, że ty możesz — ! Po takim deszczu — na pośmiewisko?! Kajetanie! nie męcz mię!

ORUG. Są godziny w życiu gorsze od śmierci, w których duch *opiera się sam na sobie i pada*. W takich godzinach nikomu nie można podać ręki — ani nikt nie może wesprzeć — tego ducha.

LUDKA. Jezus Marya! Kajetanie!! Dlaczego tak mówisz? Ja nie chcę, abyś tak mówił.

ORUG. Posłuchaj mnie, pomówimy spokojnie. *(w wielkiem napięciu myśli i z przeraźliwą przenikliwością)*. Ty i ja — jesteśmy dwojgiem ludzi — cały świat okryty nocą — wichur chodzą po szybach — Ty zwierciadło stoisz przedemną zwierciadłem. Nic ciebie nie ochrania ani mnie. Czytam w twojej duszy. Widzę twoje myśli, biegnące jak spłoszone sarny. Bledniesz.

LUDKA (*dreńwieje, trzyma się poręczy krzesła*). Kajeta-
nie —

ORUG (*straszliwym, cichym głosem*). Powiedz mi — py-
tam — ale powiedz tak szczerze, jakgdyby tu między
mną a tobą stała *wiekuista moc* — tasama — co
zagłada w oczy konającym ludziom — powiedz
szczerze: Czy zgodziłaś się całą mocą serca z tem, że
zrzekłem się majątku — *i nie pragniesz, abym go*
miał znowu? —

LUDKA (*zduszonym głosem*). Nie — —

ORUG. Czy tobie zdawało się kiedy z taką siłą, jak-
gdyby to była rzeczywistość, że gotowaś wyrzec się
blasku, piękna życia i *iść na trud i ból dla kogoś*
drugiego?

LUDKA. Nie — —

ORUG. A czy ty pomyślałaś kiedy, że ze śmiercią czy-
jąś, kogo kochasz — *i twoje życie powinno zaga-
snąć?*

LUDKA. Nie — —

ORUG. A przyszedli kiedy na ciebie przeraźliwy strach,
że to, co myślisz i to, jak żyjesz — *nie jest tem,*
czem być powinno??

LUDKA. Nie — (*wybuchu cichym płaczem, coraz mo-
cniejszym w miarę jak Orug mówi, klęka na ziemi*
i głowę kryje na krześle).

ORUG (*straszonym, mocnym, cichym głosem*). Nie ko-
chałaś nigdy i samolubną byłaś i marną byłaś. Nie
ma w tobie *nic z piękności ducha*. Nie ma w tobie
nic, co by było głębszem od najpłytszej kałuży wody.
Nie dla miłości szłaś tutaj, ale rwała cię za mną
niezwykłość i ciekawość. Małą, o jak bardzo małą

jesteś w moich oczach. Przestał działać na mnie urok twych ramion i bujność twoich włosów — jak urok róży, kiedy nas przesyta ogarnia. Nie dla mnie jesteś. Tobie iść w świat i siać nicość. Wielką będziesz i podziwianą. Nicość ma także prawo bytu. Idź — ja ubogi jestem. Ani okruszyny blasku dać ci nie mogę. — Idź, idź.

LUDKA (*szlochając, wstaje z ziemi*). Gdzie ja pójde??
Kajetanie — zlituj się — nie wypędzaj — choć jestem taka zła. Jeszcze wszystko jest w twojej mocy. Błagam cię — zatrzymaj majątek, zatrzymaj! — Ja boję się nędzy!! Kajetanie! ja boję się nędzy!! Litości! Litości!! Litości!!

ORUG (*strasznym, cichym głosem*). Nie mam nic w sobie litości. — Powiadam ci, nie mam. Kiedyindziej możebym rzekł: *Będę żył z tobą, aby żyć*. Dziś nie potrafię tak rzec. Poświęcić choćby jedną wolną myśl dla głupstwa życia jest tak wielką zbrodnią! — Nie potrafię. O wierz mi — nie potrafię. Idź — i siej nicość.

LUDKA (*przeciąga rękami po twarzy*). Jezus Marya!! co się tu dzieje? co mi przychodzi do głowy?! coś ty ze mnie zrobił?! Jezus Marya! Jezus Marya! ja taka, taka, taka nędzna, nędzna?! O joj, o joj. Ja jestem nic — takie nic straszne?! Nic nie warta? (*rozpacźliwie*). Hahaha, hahaha. — Jak ty to powiedziałeś? »czy ty pomyślałeś kiedy że« — Jezus Marya! Jezus Marya! »czy ty pomyślałeś kiedy« — (*szeptem*). Wróć! trzeba wrócić! Ja nie wiedziałam, że ja taka. O nie! Tyś to tak dobrze powiedział. Haha -- Wierzyłam w to, że zatrzymasz majątek! jak ty zga-

dłeś! Tak, tak. To już wszystko. Kwakier czeka — —
na dworze — — Kwakier czeka na mnie —

(Wchodzi Katerla z lewej strony).

KATERLA. Pani — Kajetanie. Błagam was. Odwróćcie
oczy od przeszłości. Ktoś co was dzielił — nie wej-
dzie więcej między was. Bądźcie dobrej myśli. Kto
kocha, musi bardzo cierpieć — —

LUDKA. Hahaha! *Teraz nas łączy!* Takie kpiny! podły!!
podły!! *(wypada w głąb, na dworze woła)*. Franciszku
konია! Franciszku konია!! *(potem pod oknem)*. Da-
waj tu!!

KATERLA I ORUG *(stoją nieruchomo, patrzą po sobie)*.
GŁOS FRANCISZKA *(pod oknem)*. Proszę mię wziąć
na kozioł! Panienko!! panienko!!

LUDKA *(w oddaleniu)*. Zostaniesz!

GŁOS FURMANA. Niech panienka nie bije Kwakiera!
Dyc nie podcinać!! poniesiel — Rany boskie!! Nie tam-
tędy! tamtędy droga przez parów!! Rany boskie!! trzy-
mać! trzymać!! *(głos się oddala)*. Poniósł!! ratunku!! —
tamoj parów!!!! —

(Wicher, deszcz rośnie z każdą chwilą).

KATERLA *(biegnie do okna, chce wybiec w głąb)*.

ORUG *(z wielką mocą)*. Zostań.

KATERLA *(staje w głębi)*.

ORUG. Kto cierpi, niech idzie *własną drogą*. Może

ona teraz jest najbardziej człowiekiem, a ty chcesz zabić w niej człowieczeństwo? A jeśli jest tylko tem, czem była — *co* chcesz ratować? —

MARYA (*wchodzi niespokojna z lewej strony*). Ludka przyjechała. Czy była tu?

ORUG. Już odjechała.

MARYA (*patrzy na niego, to na Katerlę*). W taki deszcz? (*idzie do okna, patrzy na pole*). Jacyś ludzie biegną z pochodniami w stronę parowu — (*odwraca się, niepewnym głosem*). Czy się co stało? panie Katerla — Kajetanie —

ORUG. Nie pytaj. Troszczysz się o drugich a nie troszczysz się o siebie?

MARYA. O siebie? Pójdę za tobą, gdzie ty bracie pójdziesz.

ORUG. Nie Maryo. Nie pójdziesz za mną. Na swoim biurku znajdziesz papiery. Dowiesz się z nich, co jest twojem i będziesz wiedzieć, jak pokierować sobą. Ja nie dam ci serca. Przestało we mnie bić dla spraw i uczuć dnia. Zostaw mię w spokoju. Spokój bez granic musi zasiać w mojej przyszłej izbie. Taka mię praca czeka wielka.

MARYA. Wiesz, że umiem się wyrzec wielu rzeczy. Będę przy tobie tem, czem będziesz chciał mię mieć.

ORUG. Nie, nie siostró. Rozdział nastął między mną, a życiem. Przy mnie może żyć ktoś, kogo już nic nie wiąże ze światem. Odejdiesz ty. On odejdzie także. Inni odeszli już dawno.

MARYA (*patrzy na Katerlę i Oruga*). Kajetanie, dla czego? Inni — to dobrze. Ale dla czego ja — albo pan Stefan?

ORUG. Pytaj go. Odpowie może.

KATERLA. Nie wiem jeszcze nic, cobym mógł odpowiedzieć. Wszak czekam *twojej* odpowiedzi.

ORUG (*przeciera czoło*). Tak — prawda. Czekasz mojej odpowiedzi. Rozumiem ciebie. Nie mieć odpowiedzi na straszne pytanie — to znaczy cierpieć najbardziej. Wiem, wiem. Znam to — i jak jeszcze (*po chwili*). Gdybym był mógł — odpowiedziałbym ci już dawno. Ale czy ja mogę twierdzić coś, co dla ciebie będzie mieć wartość pewnika?

KATERLA. Wszystko możesz.

ORUG. Czy jest co dla mnie pewniejszego na świecie prócz tego tylko, że sam cierpię? Wpierw ukojenie musi przyjść, zanimbym mógł wydać sąd o tem, kto winnym jest mego cierpienia.

MARYA. Kajetanie — co mówisz? Kto winien, że ty! — pan Stefan?

ORUG. On twierdzi, że mi krzywdę wyrządził.

MARYA. Kajetanie, pan Stefan? jak ty możesz przypuszczać coś podobnego? albo nawet pozwolić komu mówić?!

ORUG (*głęboko*). Ty tak bardzo wierzysz w to, co rzekłś, iż możesz ręczyć?

MARYA (*z wielką prostotą*). Mogę — —

ORUG. A jeśli ty mnie nie kochasz, a kochasz co inne, co ci jest droższem nad wszystko, czy także będziesz ręczyć?

MARYA (*strasznie zmieniona*). Kajetanie —

KATERLA. Nie krzywdź siostry. Nikt tak nie kocha ciebie jak ona.

ORUG. Maszli dowód, którybyś mógł mi dać, że tak jest?

KATERLA (*z goryczą*). Choćby ten żal, co mię dławi w gardle — żal do ciebie, że tak postępujesz z siostrą.

ORUG. Ręczycie wzajem za siebie — a ja nie wiem, czy ręczyć możecie. Trzeba wpierw pokochać bez granic, zanim za tym kimś można świadczyć jak za sobą samym. A może wy — — (*urywa, potem podchodzi ku Katerli — i pyta mocnym cichym głosem*).

Katerla — Katerla — gotówes życie oddać dla niej??

KATERLA (*zduszonym szeptem*). Jeśli ono co warte, dam — — —

ORUG (*zdumiony*). Tak kochasz??? — —

(*Na Maryi robi to szalone wrażenie*).

KATERLA (*milczy, przyciska palcami oczy, drży*).

ORUG. Maryo — czy teraz możesz świadczyć za nim tak jak on za tobą?? — Słyszałaś — —

MARYA (*blada, drży, gnie się nad fotelem, o który się opiera, po chwili szeptem*). Tak — —

ORUG (*zdumiony*) — Tak kochasz go bardzo??? — —

MARYA (*przyciska głowę do wysokiej poręczy fotelu, cicho płacze*).

ORUG (*wzruszony do głębi*). Teraz — wierzę wam. Maryo nie płacz — idź ku niemu — Stefanie — wyście dla siebie —

KATERLA (*staje obok Maryi. bierze ją za rękę*). Panno Maryo! — Kajetanie!

ORUG. Idźcie w życie — jak idzie się na głód i pra-

gnienie. Nie troszczcie się o wasze cierpienia — ale troszczcie się o to, aby *myśl była w waszem życiu*. Szukajcie jej, a głód i pragnienie będą wam rozkoszą — — —

(Wicher gwałtowny za sceną, krótka błyskawica bez grzmotu).

GŁOS *(za sceną daleko)*. Jest tam kto żyw??! dawajcie liny i drabinę!!

SŁUŻĄCY *(wpada z głębi)*. Panienska z Borek spadła z koniem w przepaść. Leży rozbita na dnie *(wybiega)*.

MARYA. Ludka?!?! Boże!!! *(wybiega w głąb)*.

KATERLA. Panno Maryo!! *(wybiega za nią)*.

GŁOS *(za sceną)*. Świećcie pochodnią — tędy!!

(Wichura rośnie — deszcz ulewny).

ORUG *(robi ruch gwałtowny ku wyjściu — zatrzymuje się, stoi chwilę nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma)*. Zabiła się jako człowiek — — — — *(patrzy błędnie naokół)* — spokoju — spokoju — *(skręca lampę)*. Gaśnij światło! — tak zgasło jedno ludzkie życie. — Haha, noc — noc — *(roztwiera okno)* taka noc — jak ludzka dusza — taka ciemna jak ludzka dusza — *(odchodzi od okna)*. Myśli — byle jednej myśli! — *(łyska się długo)*. O takiej jak ta błyskawica!! ha! jaka jasna!! stój! świec mocno! jaśniej!!

rwij czaszkę — tędy — w głąb — w mózg! — zaga-
sła — — — *Ta noc ma swoje błyskawice, a noc*
ducha?? — A może ta, co leży tam na dnie na po-
krwawionych granitach — może ta w chwili skonu
miała ową *wszechświadomości błyskawicę??* —
Gdyby tak móc ją wydrzeć z rozbitego mózgu!!! —
tę myśl!!! (*idzie ku oknu — błyskawice*). Ha jasno!!
tędy światło!! poprzez skronie, poprzez oczy, poprzez
mózg — do krwi! do krwi! do krwi!! — !! —

(*Zaleska wchodzi do sali z płonąca świecą w rękę i idzie*
powoli ku niemu od lewych podwoi).

ORUG (*nie poznając jej, przeraźliwie*) Ha! Kto jesteś?!!
kto jesteś?!! kto jesteś?!!

ZALESKA (*cichym głosem*). To ja Kajetanie —

ORUG. Ty?? Ty?? Którą wzywam? której czekam?
myśl? moja myśl?? — stój!! stój tam!!! stój tam!!!
bo jak cię pojmem i zrozumie — oszaleję!!!! —

(*ciągle błyskawice*).

Ani drgnij!! a — a — szum we łbie. — Więc
ty — do mnie?? — i będę wiedzieć, co trzeba wie-
dzieć człowiekowi?? — ani drgnij!! bo padnę!! —
blady pot wyszedł mi na czoło — włosy mi się jeżą —
czuję twoją przeraźliwą moc!!! — mózg pęka!! —
O! dla ciebie miejsce będzie! — tu! tu! straszne, nie-
pojęte!!! — znam cię — to ty jesteś — wiekuiste
widmo — ból i cierpienie rozumu — przeczuwałem

cię lata całe — i jesteś — przejasna — rozpaczliwie
przejasna jak te błyskawice!! — — Precz!! nie chcę!!
nie chcę!! oszaleję!!! — cały świat tańczy — od-
męt — oczy zre pożoga — nie mogę tchu złapać —
dusi!!! — — dusi!!! -- — ratunku!!! — ratunku!!! —
(miota się, pada na ziemię pod oknem).

ZALESKA *(przerażona)*. W imię Ojca i Syna i Ducha
świętego, amen. — Kajetanie! Boże!! *(biegnie do
niego — świeci mu w oczy latarką).*

ORUG *(przychodzi do siebie)*. O — o — —

ZALESKA. To ja — twoja ciotka. Chciałam zapytać
się ciebie co nieco —

ORUG *(podnosi głowę zdumiony)*. A — to ty ciotko?
(potem w niewysłowionem zmęczeniu i żalu). Hahahaha —
to ty!! nie ona!! *jeszcze nie ona!! (wybuchu spazma-
tycznem łkaniem, tuląc głowę do jej nóg)*

(ciche, jasne błyskawice — wichura — gwałtowna ulewa).



Biblioteka WSP Kielce



0121159